SKARB Z BYDGOSZCZY ODKRYCIE WARTE MILIONY

ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 2 (229) LUTY 2018 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

Geheim

TAJEMNICE GÓR SOWICH

OBL RIESE

NOWE DOKUMENTY
NOWE FAKTY

> „ZAKRĘCONE" KARABINY, CZYLI JAK STRZELAĆ ZZA WĘGŁA

> KOSTRZYN. TAJEMNICA KREISLEITERA: WYDOBYTA I ROZWIĄZANA

www.odkrywca.pl

SPIS TREŚCI

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

3 PRAWDZIWY SKARB WART MILIONY ZŁOTYCH ODKRYTY W BYDGOSKIEJ KATEDRZE
MACIEJ KULESZA

6 OSTATNI BURMISTRZ KÜSTRINA
JERZY DREGER

14 BIURO KONSTRUKCYJNE WYŻSZEGO KIEROWNICTWA ROBÓT „RIESE"
ROMUALD OWCZAREK

22 PAMIĘĆ O ZITTWERKE
JANUSZ SKOWROŃSKI

28 „REDUTA SUŁKOWSKIEGO"
ROBERT MAZIARZ

36 ZIDENTYFIKOWANO MOGIŁY JEŃCÓW Z 1864 R. CZĘŚĆ 2.
ANDRZEJ DOBKIEWICZ, SOBIESŁAW NOWOTNY

42 CO NAM MÓWIĄ KULE, CZYLI O POŻYTKACH Z ARCHEOLOGII MILITARNEJ. CZĘŚĆ 3.
MICHAŁ MACKIEWICZ

100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI

48 WZOREM KMICICA...
PIOTR GALIK

KULISY HISTORII

52 OSTATNI LEGNICKI NIEMIEC
LESZEK ADAMCZEWSKI

60 KURIOZALNE KARABINY WOJEN ŚWIATOWYCH
JACEK JAWORSKI

66 **KOLEKCJONERSTWO**

ZAPŁON TYPU „AUSTRIACKIEGO" W POLSKIEJ AMUNICJI STRZELECKIEJ W OKRESIE II RP
PIOTR J. BOCHYŃSKI

70 **FELIETON**

TRISKELION
RADOSŁAW BICZAK

71 **KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"**

NOWOŚCI LUTEGO

03

36

48

52

PRAWDZIWY SKARB
WART MILIONY ZŁOTYCH
ODKRYTY W BYDGOSKIEJ KATEDRZE

Blisko 500 złotych monet ukrytych około 365 lat temu w idealnym stanie odkryto 2 stycznia 2018 roku w czasie badań archeologicznych prowadzonych w bydgoskiej katedrze św. Marcina i Mikołaja, znajdującej są tuż obok Starego Rynku. Podczas przebudowy posadzki prezbiterium archeolodzy znaleźli prawdziwy skarb. W tym miejscu stały wcześniej stalle, czyli drewniane ławki ustawione w prezbiterium. Podczas mszy siedzą na nich księża. Maciej Kulesza zapytał bydgoskiego archeologa Roberta Grochowskiego z firmy P.W. Castrum o szczegóły sensacyjnego odkrycia.

Czy Pana okrzyk radości rozniósł się po katedrze, gdy po podniesieniu płytek posadzki w ziemi pojawiły się złote monety?

– Bez przesady, nie krzyczałem (śmiech), ale serce mi mocno zabiło. To wielkie odkrycie! W zawodzie archeologa pracuję 16 lat i nigdy do tej pory nie miałem tak spektakularnego osiągnięcia.

Na licytację w Stanach Zjednoczonych trafiła moneta o nominale 100 dukatów Zygmunta III Wazy. Organizatorzy licytacji spodziewają się otrzymać za nią nawet 2 mln dolarów. Ile warte są monety z bydgoskiej katedry?

– Mamy 486 złotych monet. Nie są one tak spektakularne jak ta Zygmunta III Wazy, ale na pewno wszystkie razem są warte dużo więcej. Większość znalezionych przez nas monet to holenderskie dukaty. Ceny na aukcjach za jedną wahają się w granicach kilku tysięcy złotych.

Jak doszło do odkrycia?

Skarb odkryto w odległości ok. 1,15 m od południowej ściany magistralnej prezbiterium, w warstwie nr 4 (zasypisko pachy sklepiennej obiektu [krypty] nr 6), ok. 10 cm poniżej poziomu obecnej posadzki. Jak wskazują zachowane metalowe okucia i fragmenty zamka, skarb zdeponowany był w drewnianej szkatule.

Co to za monety?

– Najstarsza to moneta Zygmunta Augusta z 1570 roku, zaś najmłodsza to dukat Zjednoczonych Prowincji Niderlandzkich z 1652 roku. Wszystkie złote, w ogromnej większości pochodzące z Niderlandów. Są też monety z mennic austriackich, z terenu obecnych Niemiec, jak również kilka tureckich. Najmłodsza moneta wyznacza *terminus post quem* znaleziska. Zatem skarb złożono w ziemi po 1652 roku, zapewne w czasie potopu szwedzkiego (1655–1660), kiedy to Bydgoszcz była trzykrotnie zdobywana i grabiona przez Szwedów.

Kto je mógł zakopać?

– Na tę chwilę za wcześnie na podobne pytania. Naukowe opracowanie wszystkich artefaktów potrwa kilka >>>

fot Maciej Kulesza

BADANIA ARCHEOLOGICZNE W RAMACH PRAC PRZY DEMONTAŻU I MONTAŻU NOWEJ POSADZKI KAMIENNEJ W PREZBITERIUM KATEDRY BYDGOSKIEJ PW. ŚW. MARCINA I MIKOŁAJA

BYDGOSZCZ, UL. FARNA 2. STANOWISKO NR 5

Treść: Rzut skarbu na I poziomie eksploracji

Skala: 1:2

Opracował: Robert Grochowski

Data: 2.01.2018

0 10 cm *SKALA 1:2*

30 *NUMERY INWENTARZA POLOWEGO ZABYTKÓW WYDZIELONYCH*

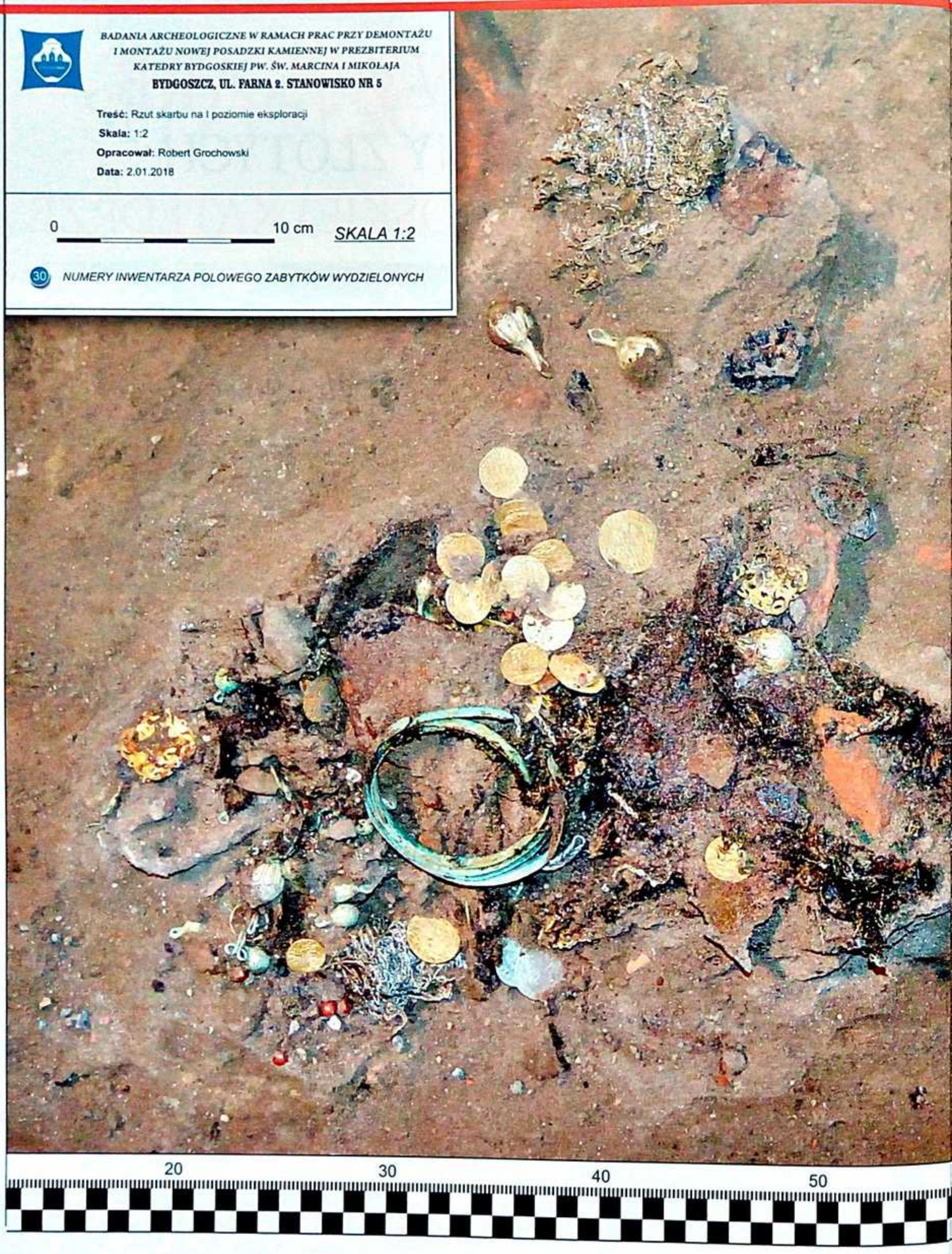

Fot. Maciej Kuleza, Robert Grochowski

>>> miesięcy. Dopiero wtedy można będzie wyciągnąć wnioski. Teraz możemy tylko gdybać. Mógł to być skarb kościelny, prywatny, należący do jednego z cechów lub bractw, które w kościele farnym miały swoje skrzynie z cennymi mobiliami. Jedna z hipotez zakłada sytuację, w której j bogaty kupiec, widząc nadciągających Szwedów, wyjął dwie-trzy ceramiczne płytki posadzkowe w prezbiterium, wykopał niewielką jamę i umieścił w niej szkatułkę. Następnie zasypał jamę i ułożył z powrotem płytki. Wszystkie czynności odbywały się w olbrzymim pośpiechu.

Prócz monet znajdowała się biżuteria.

Wśród znalezionych przedmiotów są m.in. pierścienie, obrączki, wisiory, naszywki, w większości złote, wysadzane kamieniami. Są także paciorki i dewocjonalia.

Poniżej skarbu znajdują się krypty. To ich szukaliście?

Nie, choć w gotyckim kościele należało się ich oczywiście spodziewać. Na obecną chwilę mamy odsłoniętych sześć murowanych krypt. W ubiegłym tygodniu (koniec 2017 roku) w czasie skuwania posadzki, przy północnej ścianie magistralnej prezbiterium odsłoniła się pierwsza krypta (sklasyfikowana jako obiekt arch. nr 1). Jest to krypta ceglana, na planie prostokąta, sklepiona kolebkowo, z wejściem szyjowym od zachodu. Datowana jest na 2. poł. XVI wieku, a może początek wieku XVII. Znajdowała się w niej trumna drewniana, a w środku druga – ołowiana. Trumna ołowiana jest prawdopodobnie XIX-wieczna.

Co się stanie z skarbem? Gdzie jest obecnie?

Skarb został przekazany do Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy. Obecnie wszystkie artefakty podlegają inwentaryzacji, prowadzone są również działania mające na celu ich konserwację. Jako bydgoszczanin cieszę się, że skarb będzie ozdobą naszego Muzeum.

Wywiad przeprowadzony został 4 stycznia 2018 roku. Trwają nadal prace archeologiczne. Do czasu publikacji niniejszego numeru archeolodzy dotrą zapewne do wnętrza krypt, w których spodziewają się pochówków. Do tematu bydgoskiej katedry wrócimy na łamach Odkrywcy. <

Maciej Kulesza

Wieloletni współpracownik Odkrywcy. Z wykształcenia historyk, pasjonat historii Bydgoszczy i architektury militarnej. Z zamiłowania dziennikarz i fotograf Gazety Wyborczej. Autor kilkuset artykułów popularyzujących wiedzę historyczną regionu.

ROBERT GROCHOWSKI

Archeolog, absolwent archeologii architektury na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Specjalizuje się w architekturze obronnej, multimediach i rekonstrukcji 3D. Uhonorowany odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej" oraz Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Prowadził badania na blisko 150 stanowiskach archeologicznych, m.in. polskich fortyfikacji z okresu kampanii 1939 roku (samodzielnym punkcie oporu Dobieszewko, Przedmoście Bydgoskie, Pozycja Żnińska), niemieckich umocnieniach w Puszczy Bydgoskiej, ekshumacjami w Gródku (gm. Drzycim) i Tryszczynie oraz badaniami i pracami dokumentacyjnymi na terenie dawnych niemieckich zakładów zbrojeniowych Luftamunitionsanstalt 1/II Bromberg oraz D.A.G Fabrik Bromberg.

OSTATNI BURMISTRZ KÜSTRINA

JERZY DREGER

Hermann Körner, kwiecień 1945 roku.

W 1945 roku w efekcie dwumiesięcznych walk Kostrzyn nad Odrą stał się morzem gruzów. Zagładzie uległa prawie cała substancja budowlana miasta. Pod gruzami pogrzebane zostało niemalże wszystko, co mieszkańcy miasta posiadali w swoich domach, a także broń, oporządzenie i żołnierze biorący udział w walkach. Na kilkadziesiąt lat teren Starego Miasta stał się wymarłą pustynią. Dopiero w latach 90. doszło do odgruzowania ulic i placów Starówki. Niektóre jednak wciąż pozostawały zakryte.

Ratusz wraz z wejściem w zaułek przed 1945 rokiem.

fot. Gerd-Ulrich Herrmann, Twierdza Kostrzyn 1945; oczekiwania a rzeczywistość, Muzeum Twierdzy Kostrzyn – Fundacja Współpracy Polsko – Niemieckiej, Kostrzyn nad Odrą 2015, str. 66; zdjęcie ratusza – autor nieznany, zbiory Marka Wichrowskiego

Pomysł odgruzowania zaułku Jatki (niem. Scharrn) dojrzewał w Muzeum Twierdzy Kostrzyn już od dłuższego czasu. Wchodziło się do niego przejazdem pod Ratuszem i wychodziło przy ulicy również noszącej miano Jatek. Była to uliczka mieszcząca kilka sklepów, warsztatów[1]. Według niektórych wydawnictw znajdowały się tam głównie sklepy spożywcze[2]. Kusząca była perspektywa odsłonięcia i przebadania tej części miasta będącej pod gruzami od 1945 roku. Była to również jedna z nielicznych nieodgruzowanych ulic w trakcie szeroko zakrojonej akcji w latach 90. Spodziewaliśmy się ciekawych znalezisk, głównie związanych z życiem codziennym mieszkańców miasta, przerwanym przez wojnę.

Do namierzenia i wytyczenia na gruzowisku przebiegu ulicy posłużył geoinformacyjny program Quantum GIS. Służy on głównie do tworzenia i obróbki map oraz umieszczania na nich różnych zapisów informacyjnych. Z bardzo szerokiego wachlarza jego możliwości użyliśmy opcję kalibracji planu miasta oraz planu pomieszczeń parteru ratusza z współczesnym podkładem kartograficznym. Wykorzystaliśmy funkcję cieniowania i hipsometrii numerycznego modelu terenu ISOK. Dzięki temu udało się ustalić z dużą dokładnością położenie ulicy pod gruzem. Kalibracji dokonał Marcin >>>

>>> Wichrowski. Dzięki jego doświadczeniu, profesjonalnemu sprzętowi oraz doskonałemu programowi uzyskaliśmy efekty więcej niż zadowalające. Ulicę udało się namierzyć z dokładnością co do kilkunastu centymetrów.

W zasadzie przed rozpoczęciem prac można było do pewnego stopnia przewidzieć rodzaj i skalę odkryć. Nie spodziewaliśmy się jednak aż takich znalezisk! Przede wszystkim szybko okazało się, że część ulicy została przekopana już po wojnie w trakcie rozmaitych prac na Starym Mieście. Skutkiem tego na części ulicy brakuje brukowanej nawierzchni oraz murów sąsiednich kamienic. Ponadto obszar ten był intensywnie użytkowany gospodarczo, głównie w latach 70. Wtedy usunięto część gruzów, składowano materiały, pozyskiwano materiał budowlany. Wiele szkód przyniosły prace prowadzone w latach 90. Brak nadzoru merytorycznego i konserwatorskiego doprowadziły do zaginięcia większości znalezionych obiektów.

Prace nad odgruzowaniem ulicy rozpoczęły się pod koniec września 2017 roku. Kierownikiem prac był archeolog Muzeum Twierdzy Kostrzyn (MTK) Krzysztof Socha. Prace postępowały w kilku fazach. Kilkakrotnie również wspierali nas w pracach członkowie Stowarzyszenia Perkun i Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika Odkrywca – Paweł Piątkiewicz i Jarosław Stróżniak. Odsłanialiśmy metr po metrze dawny bruk

Zdjęcie zaułku Jatki (Scharrn) z albumu okolicznościowego. Küstrin 1932/1932 Kostrzyn, Juon Ralf; Ryszard Skałba, Muzeum Twierdzy Kostrzyn, Kostrzyn nad Odra 2012, str. 74.

oraz resztki kamienic. Stopniowo prace zbliżały się do wielkiej hałdy gruzu znajdującej się w miejscu dawnego ratusza. Prace zostały rozpoczęte celowo od drugiego końca ulicy, ponieważ w miejscu dawnego ratusza nie było nic, co by naprowadzało na lokalizację dawnej ulicy. W trakcie wkopywania się w resztki budynku ratusza przed koparką pracowali wymienieni już członkowie Stowarzyszenia Perkun oraz pracownicy MTK. Przeszukiwali oni odkrywane fragmenty gruzowisk przed ich usunięciem z drogi. Wówczas odsłonięta została piwnica ratusza. W czasie walk stała się miejscem schronienia dla żołnierzy, zapewne z powodu solidności wykonania oraz bezpośredniego wyjścia na rynek. Po rozpoczęciu jej eksploracji przez Pawła Piątkiewicza i Jarosława Stróżniaka szybko okazało się, że była miejscem pobytu stosunkowo wysokiego rangą oficera wojsk niemieckich. Wtedy jeszcze niemożliwe było ustalenie jego przynależności do konkretnej jednostki na podstawie znalezisk. Ich rodzaj i zagęszczenie świadczyły, że był to ktoś ważny. Tym samym skupiliśmy się, by odnaleźć obiekty umożliwiające jego pełną identyfikację. Obiecującym w tym kontekście odkryciem były resztki aktówki wraz z kilkoma etui na dokumenty. Niestety większość z nich była pusta lub otwarta. W końcu znaleźliśmy złożony wielokrotnie dokument, lecz otwieranie go w warunkach polowych niechybnie skończyłoby się zniszczeniem i utratą cennej warstwy informacyjnej. Po przyniesieniu dokumentu w etui do biura, delikatnie za pomocą odpowiednich przyrządów wyciągnęliśmy go starając się nie uszkodzić. Następnie po zabezpieczeniu przystąpiliśmy do jego odczytania. Ku zaskoczeniu otwierającego (zarazem również autora niniejszego artykułu) dokument zachował się w dobrym stanie. Wynikało z niego jednoznacznie, że został wystawiony dla Hermanna Körnera, ówczesnego burmistrza Kostrzyna i funkcjonariusza w Głównym Urzędzie Zarządu Propagandy Rzeszy. Zaświadczenie stwierdza, że burmistrz podróżuje w ważnych celach wojennych i przysługują mu pewne prawa względem korzystania z wagonów sypialnych i rezerwacji miejsc. Zaświadczenie zostało wystawione w Monachium, 27 sierpnia 1943 roku. Zastanawia jego obecność w rzeczach z 1945 roku. Zapewne było prolongowane i służyło Körnerowi aż do marca 1945 roku. Tym samym jednoznacznie zidentyfikowane zostały rzeczy znalezione w piwnicy – są to przedmioty należące do ostatniego burmistrza Küstrina i kreisleitera NSDAP – Hermanna Körnera.

Kim był Körner

Hermmann Körner (ur. 1907) był w czasie II wojny światowej ważną osobą w mieście i regionie. Przede wszystkim się jako kreisleiter, czyli naczelnik powiatowy NSDAP. Miał więc duży udział w funkcjonowaniu lokalnych struktur partyjnych i III Rzeszy. Od początku 1939 roku był również burmistrzem Kostrzyna. Obie te funkcje piastował aż do 1945 roku. Z zaświadczenia wynika również, że piastował ważną funkcję rzecznika prasowego (niem. Gauredner) dla całego Gau Mark Brandenburg. Odpowiadał za organizowanie różnego rodzaju imprez prasowo-propagandowych. Zaświadczenie wydał Główny Urząd Zarządu Propagandy Rzeszy kierowany przez Wernera Wächtera. Zaświadczenie podpisał natomiast Dr Karl Lapper, kierownik wydziału organizacji przemówień prasowych i medialnych (niem. Redneroganisation und –vermittlung). Akta tej instytucji znajdują się w Bundesarchiv Berlin – Lichterfelde[3]. Z racji zajmowania tak eksponowanych i istotnych stanowisk odpowiedzialność za najrozmaitsze zbrodnie wydaje się być duża.

fot. Zbiory Muzeum Twierdzy Kostrzyn, Skany zaświadczenia oraz Feste Kustrin – Jerzy Dreger

Pionierskie lata powojennego Kostrzyna nad Odrą.
Alicja Urszula Maria Kłaptocz
Autorka, długoletnia mieszkanka Kostrzyna, regionalistka, przedstawia historię pierwszych powojennych lat Kostrzyna nad Odrą. Publikacja składa się z czterech rozdziałów: Pionierzy lat czterdziestych; Czas działania i optymizmu; Bariera graniczna; Jak kształtowało się polskie społeczeństwo Kostrzyna – oraz suplementu.
Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

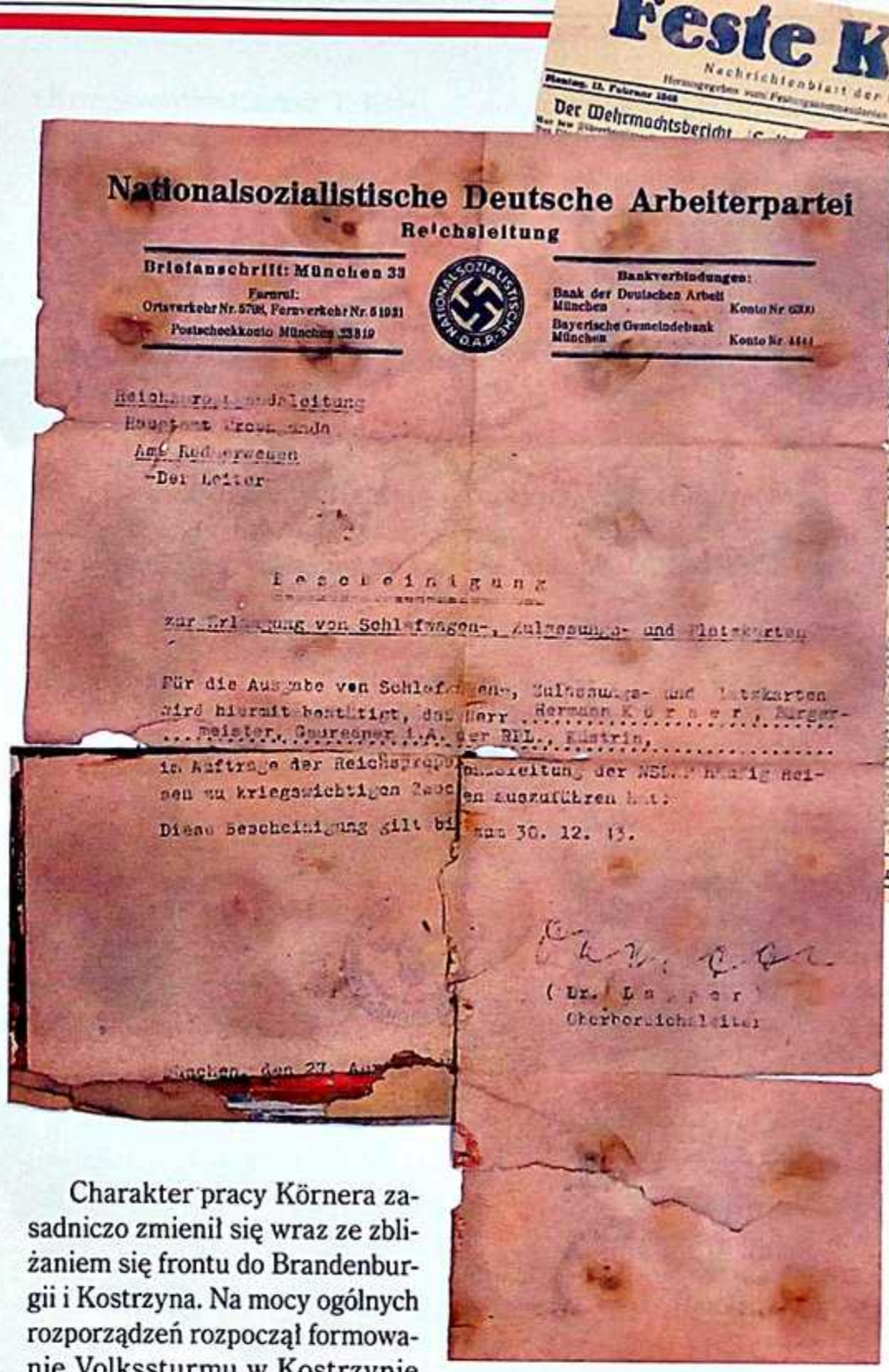
Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei
Reichsleitung
Briefanschrift: München 33
Fernruf:
Ortsverkehr Nr. 5708, Fernverkehr Nr. 51031
Postscheckkonto München 23819
Bankverbindungen:
Bank der Deutschen Arbeit
München Konto Nr. (XXX)
Bayerische Gemeindebank
München Konto Nr. 4441
Reichsorganisationsleitung
Hauptamt Kommunale
Amt Rechtswesen
-Der Leiter-
Bescheinigung
zur Erlangung von Schlafwagen-, Zuschlags- und Platzkarten
Für die Ausgabe von Schlafwagen-, Zuschlags- und Platzkarten wird hiermit bestätigt, daß Herr Hermann K ö r n e r , Bürgermeister, Gauredner i.A. der RRL., Küstrin,
im Auftrage der Reichspropagandaleitung der NSDAP häufig Reisen zu kriegswichtigen Zwecken auszuführen hat.
Diese Bescheinigung gilt bis zum 30. 12. 43.
(Dr. L a n g e)
Oberbereichsleiter
München, den 27. Au

Feste Küstrin
Nachrichtenblatt der Festung Küstrin
Herausgegeben vom Festungskommandanten und der Kreisleitung der NSDAP.
Der Wehrmachtsbericht
Einwohner der Festung Küstrin!
n, deutsche Jungen und Mädel
Festung Küstrin!
Der Festungskommandant

Charakter pracy Körnera zasadniczo zmienił się wraz ze zbliżaniem się frontu do Brandenburgii i Kostrzyna. Na mocy ogólnych rozporządzeń rozpoczął formowanie Volkssturmu w Kostrzynie oraz organizowanie pomocy dla uciekinierów ze wschodu. Stopniowo organizował również ewakuację ludności z Kostrzyna. Oprócz tego pełnił ważną funkcję jednego z redaktorów gazety „Feste Küstrin", mającej być propagandowym orężem wśród obrońców. Decyzja o ewakuacji z miasta ludności cywilnej zapadła 19 lutego. Jej realizacja przeciągnęła się jednak aż do 26 lutego[4]. Od tego momentu tak naprawdę Körner zajmował się głównie obowiązkami frontowego propagandzisty i swoistego inspektora Volkssturmu (dowodzili nim przeważnie lepiej przeszkoleni i doświadczeni oficerowie rezerwy bądź w stanie spoczynku,

Zaświadczenie wystawione dla Hermanna Körnera.

Awers pierwszego numeru Feste Küstrin.

Körner był politykiem i oficerem politycznym). Czytając artykuły i wypowiedzi, pod którymi podpisywał się jako redaktor „Feste Küstrin", można odnieść wrażenie, że był bardzo zaangażowany w funkcjonowanie państwa. Można również nabrać przeświadczenia, że czynił to ze szczerym przekonaniem co do słuszności idei.

Kreisleiter pozostał na terenie Starego Miasta aż do końca walk o Kostrzyn. W nocy z 29 na 30 marca przebijał się wraz z resztkami garnizonu i komendantem gen. SS Heinzem Reinefarthem do linii niemieckich pod Seelow. Na zlecenie władz partyjnych opublikował bardzo krytyczny raport na temat walk w Kostrzynie i złożył go na ręce Martina Bormanna. Raport powstał 5 kwietnia w Poczdamie. Między innymi to dzięki temu raportowi Reinefarth został oddany do dyspozycji Sądu Wojskowego[5]. W dosyć niejasnych okolicznościach dostał się do niewoli radzieckiej. Według relacji uciekł z niej i odnajduje się w 1948 roku w Ratzeburgu jako doradca podatkowy. W roku 1951 został burmistrzem miasta Reinbek w landzie Schleswig-Holstein, powiecie Stormarn. Funkcję tę pełnił przez następne 20 lat aż do przejścia na emeryturę w 1971 roku. W roku następnym został odznaczony Krzyżem Zasługi na Wstędze Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec (niem. Verdienstkreuz am Bande der Verdienstorden der Bundesrepublik Deutschland). Zmarł w Reinbek 5 lat później. Z okazji 725-lecia miasta Reinbek został opublikowany internetowy życiorys Hermanna Körnera, w którym brak informacji o jego wojennych dokonaniach oraz przynależności do NSDAP[6].

Uzbrojenie

Przedmioty znalezione w piwnicy Ratusza, przede wszystkim znaczna liczba odznaczeń tej samej klasy oraz specjalny rodzaj wyposażenia i uzbrojenia, sugerują specjalny status ich posiadacza.

W posiadaniu Hermanna Körnera znajdował się pistolet maszynowy MAS 38 (franc. Manufacture d'armes de Saint-Étienne). Była to nietypowa konstrukcja. Miała służyć >>>

Twierdza Kostrzyn 1945. Oczekiwania a rzeczywistość. Gerd Ulrich Hermann
Książka niezwykle dokładnie odtwarza przebieg ówczesnych walk. W publikacji znalazły się m.in takie następujące rozdziały: Twierdze w XX w.; Kostrzyn ogłoszony twierdzą; Kostrzyn – filar obrony nad Odrą?; Długo oczekiwane natarcie; Zachodnie przedpole twierdzy; Ostatnie dni Kostrzyna; Küstrin staje się Kostrzynem.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Pistolet maszynowy MAS 38 wraz z magazynkami.

>>> jedynie do samoobrony i zastąpić stosowane wcześniej pistolety np. MAS 1935, STAR, MAS 1892, M 28[7]. Broń otrzymała niewielkie wymiary oraz słaby nabój 7,65x20 mm French. Stąd wynikała bardzo mała siła rażenia tej broni. Nietypowy był również mechanizm przeładowywania broni, którego istotnym elementem była tuleja umieszczona w drewnianej kolbie[8]. Niemcy w 1940 roku przejęli niewielkie ilości tej broni, oznaczonej jako 7.65 mm MP722(f). W czasie okupacji nie była produkowana. MAS 38 zdecydowanie odpowiadał potrzebom funkcjonariusza propagandy na froncie. Nie walcząc w pierwszej linii, potrzebował lekkiego pistoletu maszynowego, głównie służącego do samoobrony w przypadku pojawienia się niespodziewanego zagrożenia. Odnaleziony egzemplarz jest w złym stanie: brak jego drewnianej kolby, chwytu, mechanizmy są niesprawne, mocno skorodowane. Oprócz niego znaleziono trzy pełne magazynki do tej broni. Dobrze łączy się to z innymi znaleziskami z Kostrzyna: świadczą o uzbrajaniu oddziałów niemieckich pod koniec wojny dosłownie w każdą strzelającą broń.

Wojenny Krzyż Zasługi z Mieczami II klasy.

Wojenne Krzyże Zasługi II klasy.

Odznaczenia

Kolejnym intrygującym znaleziskiem są trzy Wojenne Krzyże Zasługi II klasy (Kriegsverdienstkreuz 2. Klasse) oraz jeden Wojenny Krzyż Zasługi z Mieczami I klasy

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

(Kriegsverdienstkreuz 1. Klasse). Było to odznaczenie nadawane w kilku klasach i wprowadzone w 1939 roku. Dekorowano nim osoby, których czyny nie kwalifikowały się do odznaczenia Krzyżem Żelaznym. Nie zostały przyznane Körnerowi. On sam nie posiadał zwykłego KVK II klasy, za to był posiadaczem Krzyża I klasy. Na wykonanej jednak w kwietniu 1945 fotografii ma swoje odznaczenie na mundurze. Zatem najpewniej żadne ze znalezionych odznaczeń nie należy do niego. Być może Krzyże stanowiły rodzaj pakietu nagród do nadawania na polu walki, będących w dyspozycji kreisleitera. Mogła to być forma docenienia odwagi żołnierzy oraz podnoszenia morale i działalności propagandowej, co przecież było zasadniczym zajęciem Körnera. Najprawdopodobniej odznaczenia te nigdy nie zostały nadane. Potwierdzają to również resztki książeczek odznaczeniowych.

Wyposażenie

Ważnym elementem ekwipunku Körnera było wyposażenie właściwe jego stanowisku. Większość dokumentów uległa rozkładowi. Zachowały się w złym stanie elementy skórzanych przedmiotów: fragmenty aktówki, etui na dokumenty, częściowo przetrwały wysokie buty oficerskie. Dotrwały do naszych czasów również sztućce będące najwyraźniej przedmiotami cywilnymi używanymi przez kreisleitera. Najważniejszym elementem jego wyposażenia była pieczęć urzędowa miasta Küstrin. Była ona niezbędna do pełnienia funkcji burmistrza miasta. Wykonana została jako gumowy tłok-nakładka do przyklejenia na drewniany stempel. Do dziś pieczęć jest czytelna i mogłaby dalej pełnić swoje zadanie.

Twierdza Kostrzyn – mapa fortyfikacji i garnizonu.
Przedstawia rozpoznane budowle forteczne i garnizonowe wzniesione w Kostrzynie nad Odrą do 1945 roku: powstały w XVI w. i rozbudowywany po XIX w. bastionowy rdzeń Twierdzy, XIX-wieczne umocnienia nowopruskie, forty z lat 80. wieku, pozostałości pozycji mobilizacyjnych z 1914 roku, urządzenia obrony i ochrony przeciwlotniczej z okresu II wojny światowej.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

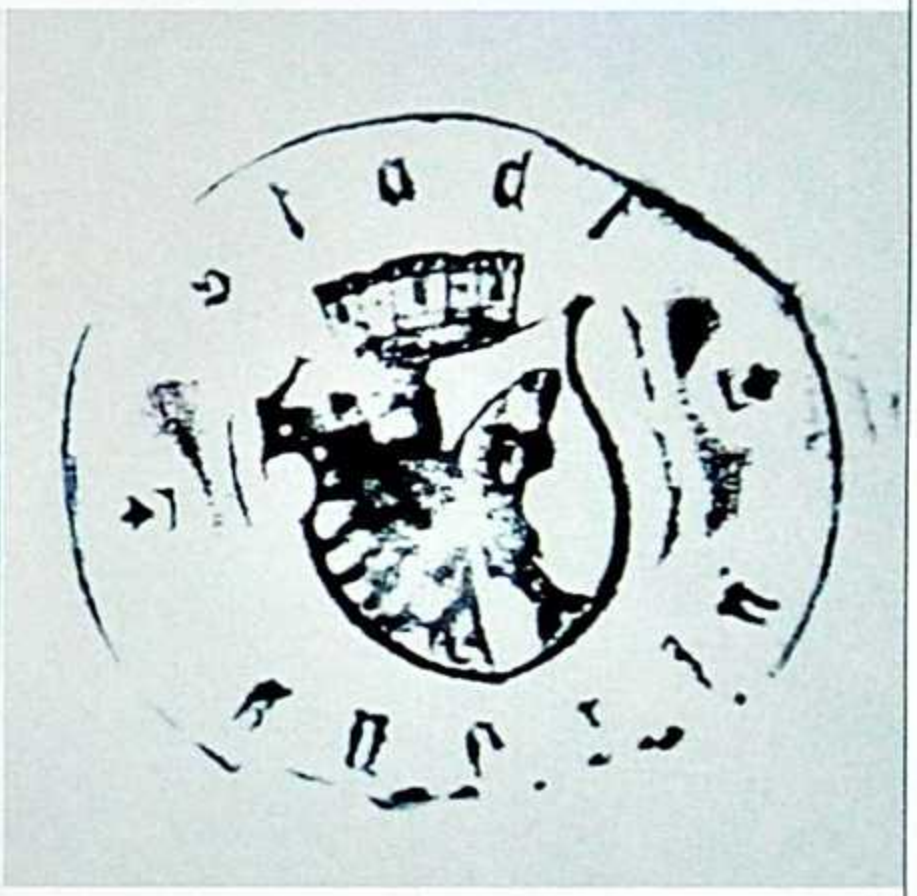

Gumowa pieczęć Stadt Küstrin.

Współczesne odbicie w czarnym tuszu.

Przedmioty osobiste

Jednym z najciekawszych elementów znaleziska są bez wątpienia przybory toaletowe dawnego burmistrza; nie są tanie, jakie zwykle znajduje się przy żołnierskich zwłokach czy w okopie. Były umieszczone w solidnej i drogiej kosmetyczce. W niej znajdowały się woda kolońska, maszynka do golenia wraz z żyletkami, pędzel do golenia, mydło, grzebień, krem do golenia, szczotka. Każda z tych rzeczy niemalże została osobno zapakowana w pokrowiec i wsunięta do kosmetyczki. Używanie takiego zestawu toaletowego mogło dać tę odrobinę komfortu, tak bardzo potrzebną na froncie. Szczególnym przedmiotem jest z pewnością woda kolońska firmy „Eau de Cologne by Mäurer & Wirtz" z Kolonii o nazwie własnej „4711". Woda tego typu była produkowana najpewniej od 1799 roku. Była więc uznaną marką, zapewne również kosztowną. Co jeszcze ciekawsze woda dalej jest zamknięta w butelce. Na flakoniku zachowały się resztki etykiety, na tyle wyraźne, że umożliwiają identyfikację >>>

fot. Stowarzyszenie Perkun, Jerzy Dreger

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

>>> przedmiotu. Znaleziona została również pewna ilość pieniędzy. Są to tylko i wyłącznie drobne monety o nominale 10 fenigów. Zastanawia występowanie tylko i wyłącznie takiego nominału. Być może jest to jakaś ostatnia część dawnej kasy miejskiej. Możliwe również, że te drobne mogły pełnić rolę … biletów tramwajowych. W Kostrzynie jeden z ich rodzajów miał wartość 10 fenigów. Być może był to zapas na podróże po mieście. Tego nie dowiemy się już nigdy.

Na zaułku Jatki obecnie trwają już jedynie prace porządkowe. Mają one na celu częściowo przywrócić brukowaną nawierzchnię lub ją odsłonić. Muzeum dąży też do zabezpieczenia ścian i nasypów, by zapobiec osuwaniu się na ulice gruzu i ziemi. Z przedmiotów pozyskanych w trakcie odkrywania Jatek planowane jest zorganizowanie wystawy czasowej połączonej również z informacjami o ostatnim burmistrzu Kostrzyna. Tymczasem przystępujemy do szukania informacji o następnych podobnych miejscach i nowych możliwościach odkryć.

Autor pragnie podziękować w imieniu Muzeum Twierdzy Kostrzyn wszystkim zaangażowanym w prace – pracownikom MTK oraz członkom Stowarzyszenia Perkun.

Jerzy Dreger
Specjalista ds. edukacji muzealnej w Muzeum Twierdzy Kostrzyn. Z wykształcenia historyk wojskowości. Zajmuje się również badaniem dziejów Twierdzy i miasta, konserwacją i identyfikacją muzealiów. Prywatnie kolekcjoner militariów, rekonstruktor Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Butelka wody kolońskiej 4711.

Reszta przyborów kosmetycznych Hermanna Körnera.

Drobne monety.

fot. Jerzy Dreger

PRZYPISY

[1] „Einwohnerbuch Stadt Küstrin 1939/40 und Gemeinde Alt-Drewitz", zb. Muzeum Twierdzy Kostrzyn.
[2] „Küstrin 1932/1932 Kostrzyn", Juon Ralf, Ryszard Skałba, Muzeum Twierdzy Kostrzyn, Kostrzyn nad Odrą 2012, str. 74.
[3] „https://portal.ehri-project.eu/units/de-002429-ns_18 - dostęp z dnia 8 listopada 2017
[4] „Twierdza Kostrzyn 1945; oczekiwania a rzeczywistość", Gerd-Ulrich Herrmann, Muzeum Twierdzy Kostrzyn – Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, Kostrzyn nad Odrą 2015, str. 66.
[5] „1945 Als Küstrin in Trümmer sank; „Ich war dabei; Betachtungen", „Berichte und Briefe", Fritz Kohlase, Chromik Offsetdruck, Sehnde 1996, str. 172–187.
[6] „Hermann Körner" [w:] Reinbeker Profile, http://www.museumsverein-reinbek.de/media/files/vortraege/Hermann-K-rner-.pdf, dostęp z dnia 8 listopada 2017 roku.
[7] „Wojsko Polskie 1939–1945 – barwa i broń", pod red. Adama Jońcy, Wyd. II poprawione, Wydawnictwo Interpress, Warszawa 1990 str. 200.; Fredercick Myatt, „Pistolety i rewolwery – ilustrowana historia broni krótkiej od szesnastego wieku do czasów współczesnych", Wydawnictwo Espadon 2014, str. 176.
[8] „Ilustrowana Encyklopedia Współczesnej Broni Palnej", Andrzej Ciepliński, Ryszard Woźniak, Wydawnictwo Lampart, Warszawa 1997, str. 133.

BIURO KONSTRUKCYJNE WYŻSZEGO KIEROWNICTWA ROBÓT „RIESE”

ROMUALD OWCZAREK

Autor na podstawie nowych dokumentów ujawnia nieznane fakty związane z budową podziemnych kompleksów drążonych w Górach Sowich.

Powszechnie znanych publikacjach o „Industriegemeinschaft Schlesien" odnaleźć można wiele informacji o pracach planistycznych, głównie za sprawą tzw. dokumentacji Baurata Siegfrieda Schmelchera – stojącego na czele zespołu zajmującego się przygotowywaniem ogólnych założeń budowlanych kwater głównych Hitlera. Przywoływane są również wspomnienia Leo Müllera, który twierdzi, że był zastępcą Schmelchera i często przebywał w Walimiu, gdzie na stałe znajdowała się oddelegowana z Berlina grupa osób pracująca nad aktualizacją ogólnych planów sowiogórskiej inwestycji.

Leo Müller w trakcie prowadzonej korespondencji z Piotrem Kruszyńskim[1] ujawnił, że mieszkał wraz z innymi osobami w domu Mohaupta na terenie Walimia.

Wspomniał również enigmatycznie, że w pobliżu mieszkali też inni współpracownicy. Ta lakoniczna informacja stale mnie nurtowała i nie dawała spokoju. Kim zatem była ta inna grupa pracowników Organizacji Todt i dlaczego Müller nie ujawnił w tej sprawie żadnych szczegółów?

Dom Mohaupta

Haus Mohaupt w rzeczywistości był willą – domem letniskowym dr. Oskara Mohaupta z Wrocławia. Jego lokalizacja nie była dobrze znana. Wspólne badania z Marcinem Paskiem, przewodnikiem Sztolni Walimskich i Grzegorzem Sanikiem – prowadzącym historyczny Eloblog – doprowadziły w końcu do ustalenia lokalizacji poszukiwanej willi. Problemem był… nadmiar niemieckich dokumentów o lokalizacji i numeracji niemieckich nieruchomości w rejonie Walimia, Rzeczki i Grządek. Wśród dokumentów były też odręczne szkice z naniesionymi nazwiskami gospodarzy, wykonane pod koniec wojny przez Niemców. Wprowadziły one niepotrzebne zamieszanie, ale ostatecznie przyjęta została wersja podawana również na niemieckiej stronie internetowej o Walimiu[2]. Na dawnych mapach jest to jednak teren dawnych Grządek (Grund), jednak w korespondencji podawało się najbliższy urząd pocztowy – Walim.

Wizja w terenie

Należało teraz obejrzeć z bliska, co pozostało ze wspomnień L. Müllera. W październikowy weekend 2017 roku wybrałem się na rekonesans z ww. Kolegami ze Sztolni Walimskich i dodatkowo zaproszonym Jurkiem Cerą, który przyjechał specjalnie z Krakowa. Wcześniej Pan Grzegorz wykonał już pierwsze zdjęcia, więc wiedzieliśmy, że w terenie coś jest. Po krótkim dojeździe wysiedliśmy w pobliżu dawnej gospody Gasthaus „Bergfrieden", na wypłaszczeniu z pięknym widokiem na Góry Sowie. Spacer nie trwał długo i od razy przyniósł wiele niespodzianek. Domu Mohaupta jako takiego już nie ma. Pozostały tylko fundamenty z widocznymi wejściami do podziemi, resztki kominów, wiele płytek ceramicznych po kuchni lub łazienkach. Nie wiadomo nawet kiedy i w jaki sposób… zniknęła willa. Ale tuż obok willi nagle pojawiły się kolejne fundamenty. Najpierw natrafiamy na niewielki łącznik, a następnie fundament po prawdopodobnie wielkim baraku. Sam barak miał jedno wejście od strony łącznika i był podzielony na dwie części. L. Müller nic o tym nie wspomniał zapewne z prozaicznej przyczyny – pytany był tylko, gdzie mieszkał, a nie gdzie pracował w Walimiu. Układ trzech połączonych ze sobą obiektów znakomicie „maskował" rzeczywistą ich funkcję, jednocześnie utrudniając obserwację np. ruchu osobowego. To niespodziewane odkrycie należało teraz jakoś wytłumaczyć. Mimo że zachowały się tylko fundamenty, to jednak była tutaj w czasie wojny mało znana agenda Amt Bau Zentrale OT w Berlinie.

Jurek Cera zobowiązał się do analizy przekazanych mu >>>

Wywiad z Romualdem Owczarkiem, wieloletnim badaczem historii budowy kompleksu „Riese", na temat odnalezionych dokumentów biura konstrukcyjnego OBL „Riese".

fot. G. Sanik

Pozostałości po baraku biura konstrukcyjnego obok willi Mohaupt.

Mapka z lokalizacją Mohaupt Haus na zachód od Sztolni Walimskich.

Zdjęcie lotnicze 2017 roku. Na czerwono zaznaczono od góry fundamenty willi, łącznika i baraku.

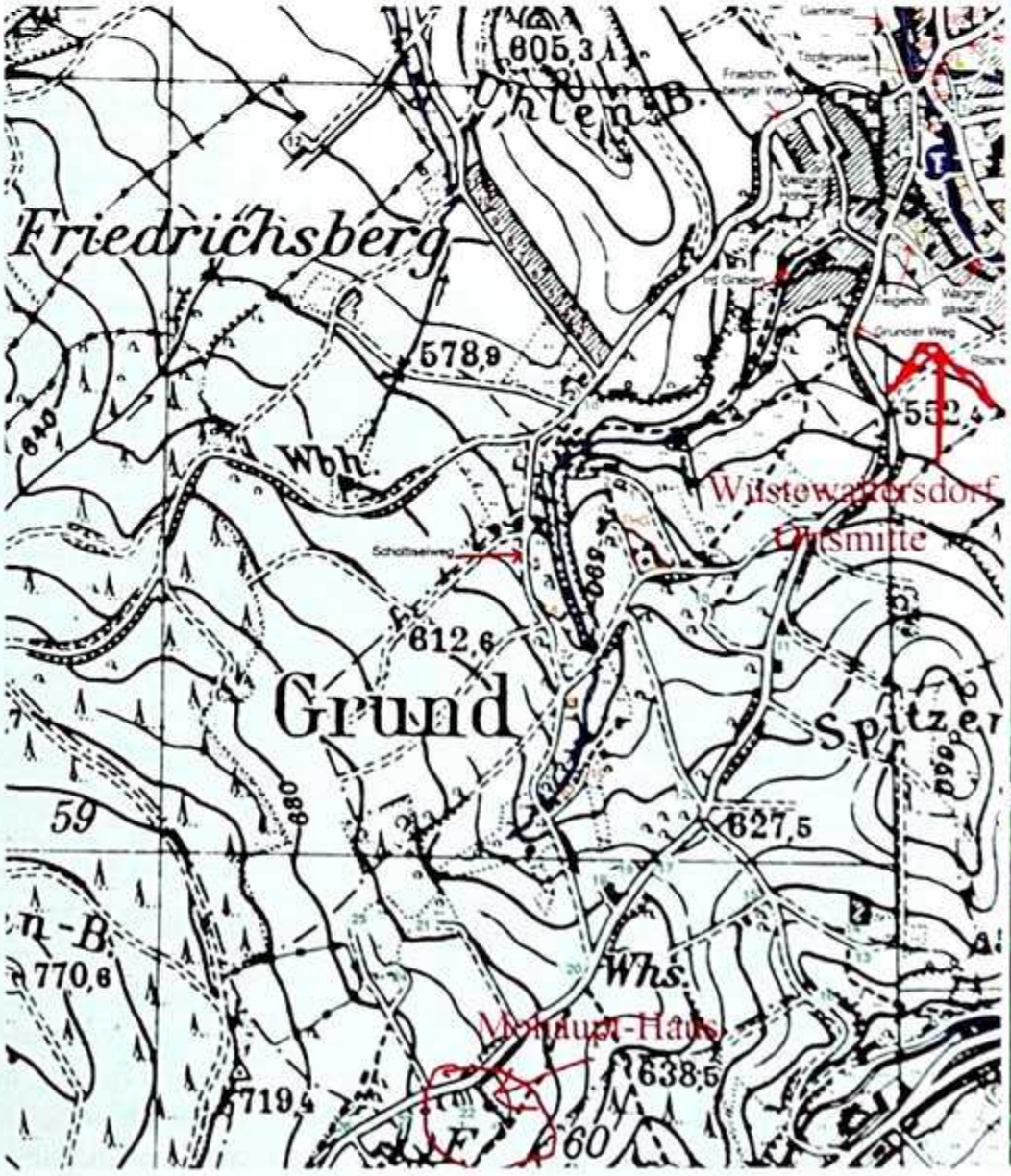

>>> materiałów, szczególnie w zakresie porównania ze zdjęciami lotniczymi z własnych zbiorów archiwalnych. O dziwo odnalazł on znakomite zdjęcia lotnicze okolic Walimia z 1945 i 1955 roku. Okazało się, że w 1955 roku obiekty były już rozebrane.

Pozostało więc ruszyć dalszym tropem – tym razem rozpocząć poszukiwania w archiwach, a to już było wyzwanie dla mnie.

Trudne zadanie

W zasadzie sprawa wydawała się beznadziejna. Polskie archiwa są mi dobrze znane. Zachował się tylko jeden dokument związany z Haus Mohaupt, ale dotyczy on grupy planistycznej z Leo Müllerem (wniosek Planungsabteilung z dnia 11.09.1944 roku do Inspekcji Przemysłowej w Świdnicy w sprawie przydziału kartek na… mleko). To ważny dokument, bo potwierdza wspomnienia L. Müllera. Pozostał mi tylko dostęp do archiwów zagranicznych i łut szczęścia.

Nie jest tajemnicą, że kwerendy prowadzone są cały czas. Wielu czegoś szuka! Poprosiłem więc kilka osób, by i coś dla mnie poszukali. Miałem farta – dostałem dokument, który jest rozwiązaniem zagadki domu Mohaupta.

Biuro konstrukcyjne przy OBL „Riese"

W końcu udało się zdobyć pierwszy dokument i od razu mocno zaskakujący o obiekcie, w którym funkcjonowało… biuro konstrukcyjne dla potrzeb OBL „Riese".

W piśmie z dnia 14 lipca 1944 roku napisano wprost:

„Konstruktionsbüro
der OBL Riese
Wüstewaltersdorf (8)
Haus Mohaupt".

Co ciekawe pismo to pochodzące z połowy lipca 1944 roku napisane zostało… w Haus Mohaupt!

Mało tego – wysłano je jako tajny dokument do wszystkich terenowych agend organizacji Todta na terenie całej Europy(!) – a mianowicie do Einsatzgruppe Deutschland od I do VIII oraz EG Zachód (Francja), Wiking (Skandynawia), Italien (Włochy), Wschód (Rosja). Z takiego malutkiego Walimia wystosowany został dokument w sprawie zasad budowy sztolni, a konkretnie – wykaz nowo zaprojektowanych profili sztolni, w zależności od rodzaju górotworu.

Prof. Fritz Leonhardt.

Pismo dr. F. Leonhardta z 14.07.1944 roku dotyczące biura konstrukcyjnego przy OBL „Riese".

Samo pismo sygnowane było przez Oddział Rozwoju, Badań i Normalizacji w Budownictwie, który podporządkowany był Szefowi Inżynierów Zentrale Amt Bau OT w Berlinie (funkcję tę pełnił prof. Leo Casagrande). Lipcowy dokument podpisał dr Leonhardt, z którym zetknąłem się już wcześniej przy pisaniu swojej książki „Zagłada Riese". Do tej pory wiadomo mi było tylko, że prof. Fritz Leonhardt – słynny po wojnie konstruktor mostów – przebywał kilka miesięcy w Walimiu.

Fritz Leonhardt

Sam pobyt Leonhardta w Walimiu ze swoim oddziałem z centrali OT w Berlinie ds. badań i rozwoju budownictwa jest niezwykłym wydarzeniem. Temu naukowcowi – zwanemu mistrzem betonu sprężonego – poświęconych zostało wiele publikacji. Kim zatem był w czasie wojny – wówczas jeszcze dr Fritz Leonhardt?

W 1943 roku Leonhardt związany był z Grupą Budowlaną prof. Hermanna Gieslera (między innymi przebudowywał od 1944 roku zamek Książ na rezydencję wodza i kanclerza III Rzeszy). Centrala OT w Berlinie postanowiła utworzyć nową grupę wielozadaniową tzw. Rosja Północ. Leonhardt pełnił w niej funkcję Hauptbauleitera – czyli głównego kierownika budów, z których najbardziej znaną jest zakład produkujący olej z łupków bitumicznych w Kiviõli w dzisiejszej Estonii. Już wtedy Leonhardt zaczął się interesować betonem sprężonym. Rozwój badań prowadzony był nad dotychczasowym betonem zbrojonym w kierunku zmniejszenia ilości deficytowej stali, ale jednocześnie uzyskaniem większej wytrzymałości betonu na ściskanie.

W tym czasie Leonhardt nawiązał kontakt z francuskim inżynierem Eugene Freyssinetem, który już pracował nad „ulepszonym" betonem (będąc w Kiviõli Leonhardt był nawet dwa razy w Paryżu). Kiedy front zbliżył się w rejon Estonii, EG Rosja-Północ została wycofana z tego regionu, a sam Leonhardt przeniesiony został w kwietniu 1944 roku w Góry Sowie. Gerhard Kabierskie, niemiecki biograf Leonhardta, w swoim opracowaniu „Fritz Leonhardt. Etappen eines aktiven Lebens", ujawnił, że w Walimiu Leonhardt związany był z budową: FHQ oraz miejsc produkcji broni – pod kryptonimem Riese – zgodnie z koncepcją prof. Herberta Rimpla[3]. W swoich wspomnieniach Leonhardt przyznał, że nie czuł się zbyt komfortowo w Walimiu (ponoć chodziło o zbyt brutalne wykorzystywanie robotników przymusowych i więźniów). Dzięki swoim dobrym układom w Ministerstwie Komunikacji III Rzeszy, udało mu się wyjechać we wrześniu 1944 roku do Monachium, gdzie jego przełożony

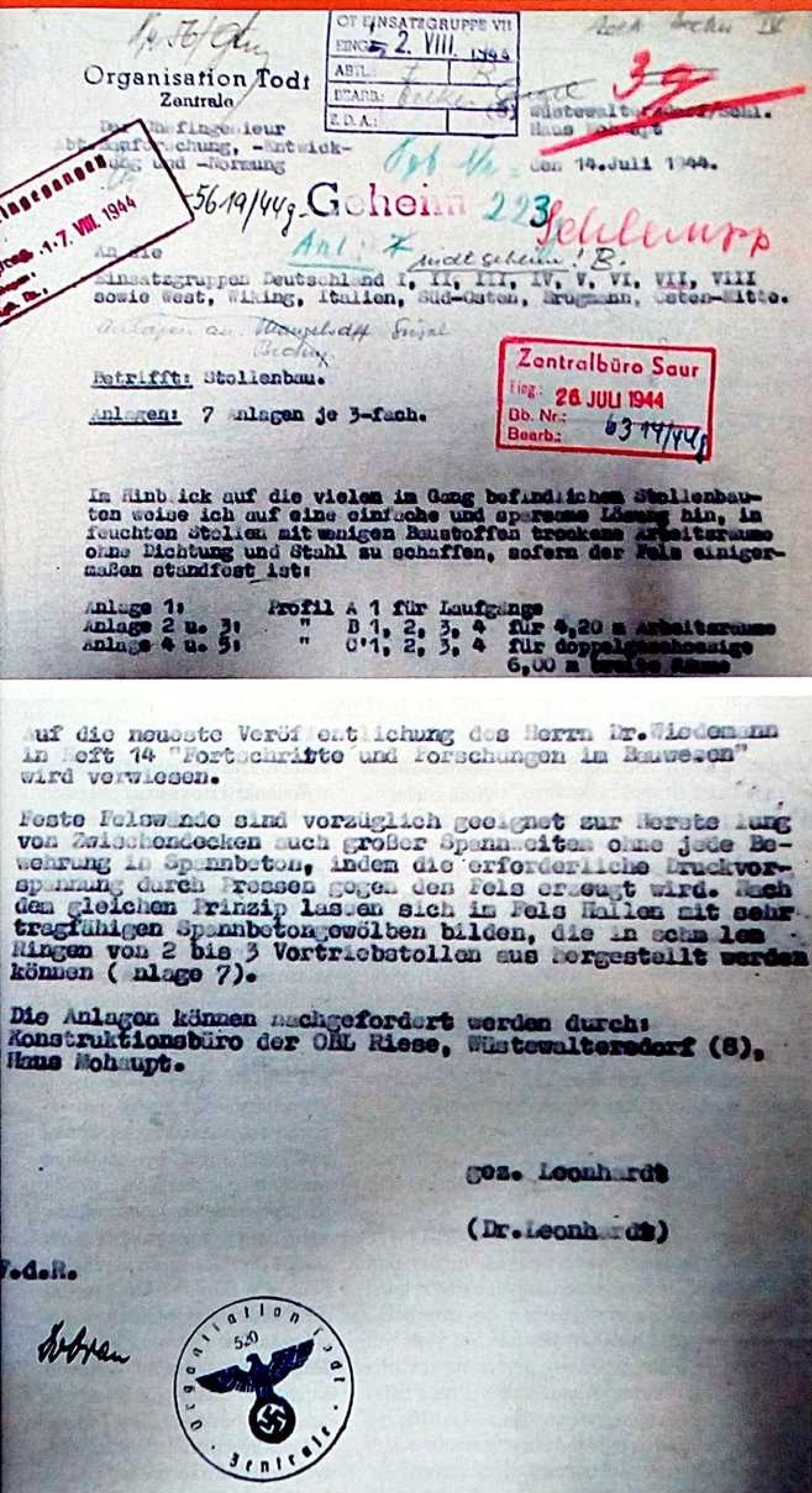

Zagłada Riese. Klęska Organizacji Todt w Górach Sowich.
Romuald Owczarek.
Autor próbuje wyjaśnić, dlaczego słynny projekt budowlany III Rzeszy o kryptonimie Riese nigdy nie został ukończony. Stara się wytłumaczyć, czemu przedsięwzięcie zakończyło się tytułową zagładą, skoro realizowały go najlepsze niemieckie firmy, a na budowę trafiały ogromne ilości materiałów...

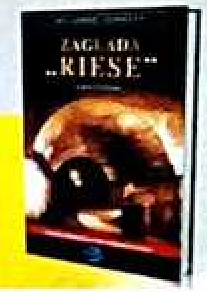

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

prof. Giesler był szefem Einsatzgruppe Deutschland VI. G. Kabierske uważa, że Leonhardt w Monachium również kierował oddziałem badań, rozwoju i normalizacji w budownictwie – czyli takim samym zespołem jak w Walimiu. Wynikałoby z tego, że Leonhardt po 5 miesiącach pobytu w Walimiu przeniósł się z całym oddziałem centrali Amt Bau OT do Monachium. Zarówno w Estonii jak i w Walimiu Leonhardt współpracował ze swoim najlepszym kolegą – Wolfhartem Andrä, który o pobycie w tej miejscowości wspominał bardziej lakonicznie, przyznając, że pracował przy FHQ koło Świdnicy. Po wojnie Leonhardt reaktywował swoje biuro inżynierskie, by wkrótce z Andrä założyć słynne do dziś biuro konstrukcyjne LAP – Leonhardt, Andrä und Partner.

Prace Leonhardta w Walimiu

Skoro do Walimia przyjechał konstruktor budowanych na terenie Rzeszy mostów, to pierwsze skojarzenia ze strony wielu czytelników skierowane będą zapewne np. na przebudowane mosty w Kolcach (wyjątkowo długie i szerokie wraz ze wzmocnioną konstrukcją), potężny wiadukt pod kolejkę wąskotorową nad główną ulicą w Głuszycy, a może nawet i na „siłownię" na Osówce. Dla takiego fachowca byłoby to przysłowiową betką. Ale wcześniej wspomniane pismo dr. Leonhardta dotyczy akurat profili sztolni, głównie dla nowo wznoszonych >>>

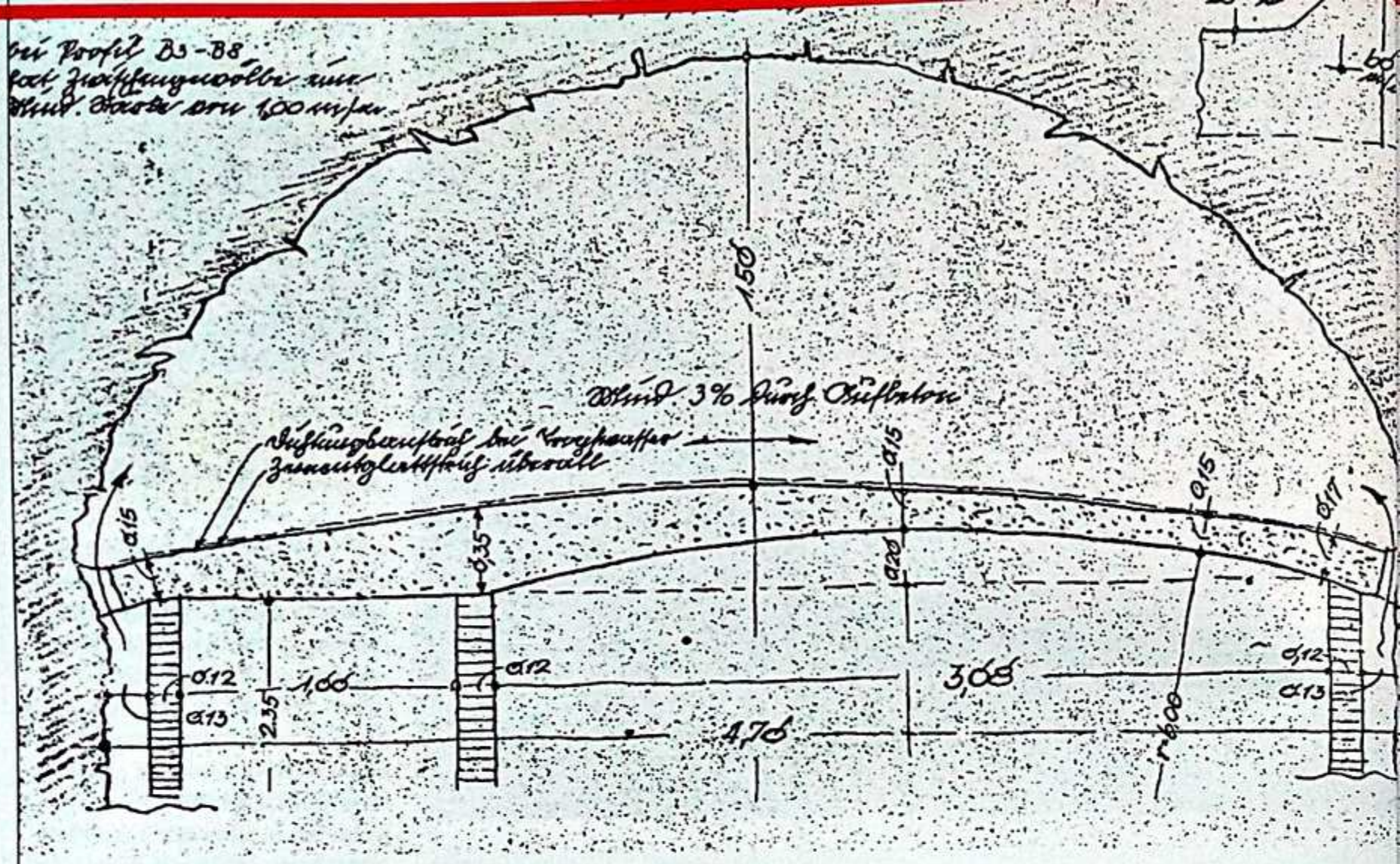

>>> obiektów podziemnych. Tutaj już na wstępie podkreślono, że ideą drążenia i obudowywania według nowych profili miało być zaproponowanie ekonomicznych rozwiązań (przy ograniczonej do minimum ilości stali), o ile pozwalała na to stabilność górotworu. Ponadto w nowo opracowanych profilach uwzględniono dodatkowe rozwiązania związane z obecnością cieków wodnych w górotworze, tak aby podziemne pomieszczenia w trakcie ich użytkowania były cały czas suche.

Przedstawiono charakterystykę następujących profili:

– profil A1 dla sztolni wejściowych, biegnących w głąb góry,

– profil B1, 2, 3, 4 dla sztolni – pomieszczeń o szerokości użytkowej 4,20 m,

– profil C1, 2, 3, 4 dla dwukondygnacyjnych pomieszczeń o szerokości łącznej 6,0 m.

Sklepienia pośrednie w sztolni o symbolu B 225 w zasadzie miały być bez zbrojenia, wygładzone cementem lub powłoką uszczelniającą, tak aby ewentualne wody podziemne mogły mieć odpływ za boczne ściany. Grubość łukowego sklepienia pośredniego uzależniona była od odporności skały na skutki ewentualnego zbombardowania budowanego obiektu podziemnego. W przypadku występowania w górotworze cieków wodnych zalecano w odpowiedniej odległości od ociosu sztolni budować ściany z cegieł lub płyt. Górna komora nad sklepieniem pośrednim miała służyć do układania kabli oraz montażu systemu wentylacyjnego.

Dr Leonhardt zaproponował też zapoznanie się z artykułem dr. K. Wiedemanna w zeszycie nr 14/1944 „Rozwój i badania w budownictwie", w którym przedstawione zostały możliwości budowy podwieszonych sklepień o dużej rozpiętości przy wykorzystaniu 2–3 pierścieni łukowych. Profil takiej dużej hali również został opracowany w Walimiu. W sumie na 7 załącznikach ukazano ponad 10 profili sztolni. Nie były jednak załączone do pisma, ale można je było otrzymać, pisząc na adres...

Profil sztolni specjalnej „S" o szerokości 4,70 m (Akta Dorscha – D--430c).

Biura Konstrukcyjnego OBL Riese w Walimiu (Haus Mohaupt)!

Nie ulega wątpliwości, że profile sztolni dla IG Schlesien powstały w Walimiu. Ale nie było ich przy piśmie. Były nowatorskie i opracowane dla określonego rodzaju górotworu, więc mogły być przydatne zapewne tylko przy niektórych tajnych projektach związanych z budową podziemnych obiektów.

Profile sztolni

W tym przypadku przebieg prac badawczych był zaskakujący, ponieważ profile dla „Riese" były znane już wcześniej. Nie wiedzieliśmy tylko, gdzie powstały i kto je zaprojektował. Same profile znajdują się w tzw. aktach Dorscha (szef centrali Amt Bau OT w Berlinie), które zostały opracowane specjalnie dla historyków armii amerykańskiej (US Army Supply Division). W Bundesarchiv we Freiburgu znajdują się cale akta pod nazwą „The Transfer of Industrial Installations to Locations which are secure from Aerial Bombing by Xaver Dorsch", które

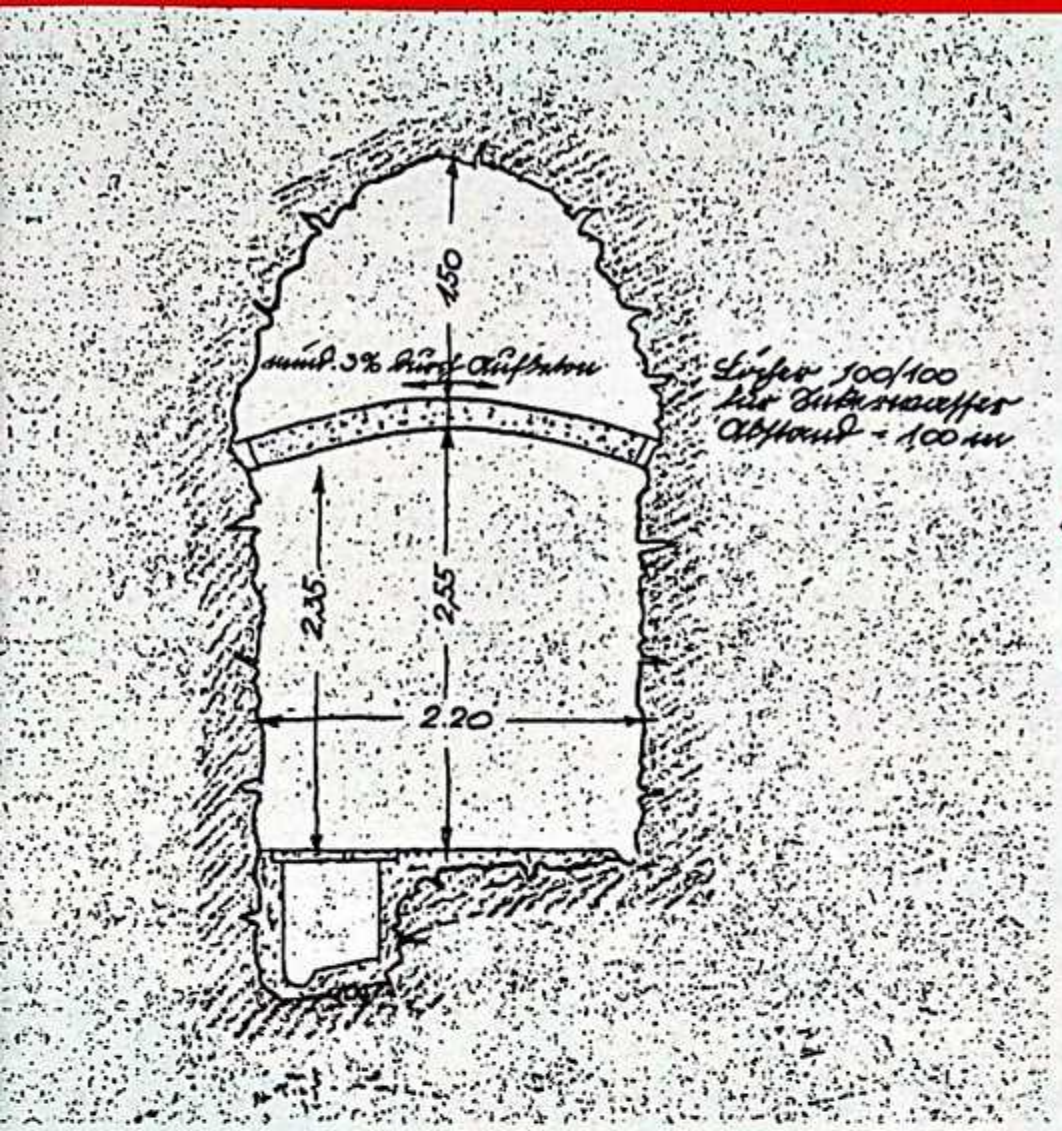

Profil chodnika A4 (Akta Dorscha D-430c).

U bram Riese. Produkcja zbrojeniowa III Rzeszy w rejonie Gór Sowich. Romuald Owczarek

Publikacja ta jest efektem wielu lat badań, które były prowadzone przede wszystkim w archiwach, ale także w terenie. Przedstawia ona zupełnie nieznaną historię wojennych zmagań niemieckich koncernów zbrojeniowych w rejonie Gór Sowich oraz ich powojenne losy.

Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

powstały w 1947 roku w Allendorf podczas internowania w tamtejszym obozie kadry inżynierskiej związanej z OT. Całe to opracowanie było swoistą „zdradą" rozwiązań konstrukcyjnych zastosowanych przy budowie podziemnych obiektów zbrojeniowych odpornych na bombardowania, do których planowane było przenoszenie niemieckich zakładów produkcyjnych.

Same akta Dorscha ułożone są w tomach od MS# D-430b do MS# D430-i. W jednym z tych tomów – D-430c – prezentowane są tzw. profile Bauvorhaben „Riese". Warto wspomnieć, że ta sprawa zaprezentowana jest w dwóch miejscach. Samo pisemne zestawienie profili Bauvorhaben „Riese" (str. 98 Tom D-430c) zamieszczono w wykazie razem z innymi profilami pod nazwą Anlagen zu den „Richtlinien für Planung und Bau von U-Anlagen" – czyli załącznik do „Wytycznych do planowania i budowy podziemnych zakładów"! Pikanterii dodaje fakt, że profile Bauvorhaben „Riese" umieszczono razem z profilami podziemnych obiektów („Brasse", „Barbe", „Jaspis"), w których zaplanowano produkcję dla Luftwaffe (budowę silników lotniczych). Takie zestawienie oczywiście zaskakuje, ale motyw Luftwaffe nie pierwszy raz pojawia się w aspekcie „Riese". Same szkice profilów umieszczono dopiero na str. 107–115 ww. tomu, ale już odrębnie w całości tylko dla Bauvorhaben „Riese" z adnotacją „przykład obiektów budowanych w całości od nowa".

W polskiej literaturze profile były już prezentowane[4], więc dla przypomnienia w artykule prezentuję tylko kilka szkiców z akt Dorscha.

Porównania

Mimo że oznakowanie profili A, B, C jest podobne zarówno w piśmie dr. Leonhardta jak i w aktach Dorscha, to należy być ostrożnym. Chodzi o to, czy już same profile – znane tylko z akt Dorscha – są tożsame z profilami biura konstrukcyjnego dr. Leonhardta?

Trzeba mieć na uwadze, że profile Leonhardta powstały pod koniec pierwszej połowy 1944 roku. Były one zaprojektowane dla konkretnych szerokości korytarzy (np. 2,40 m dla sztolni dojściowych, ciągów pieszych –1,90 m, jedno- lub dwukondygnacyjne – 4,20 m, profil specjalny – 6,0 m). We wrześniu 1944 roku, już po wyjeździe dr. Leonhardta do Monachium, zmienione zostały plany dla IG Schlesien, polegające na skupieniu się głównie na budowaniu podziemnej części planowanej inwestycji. Nie są znane szczegółowe założenia. Analizą powyższych profili dr. Leonhardta zajmował się Jerzy Cera. Jego zdaniem trudno doszukać się w niewykończonej IG Schlesien podobnych profili, szczególnie pod względem szerokości czy dwóch kondygnacji. Czy należy zatem skłaniać się ku tezie, że we wrześniu 1944 roku, kiedy do pałacu w Jedlince przywiezione zostały nowe ostateczne plany, zmiany dotyczyły też nowych profili drążonych sztolni?

Kostka Jurka Cery

W literaturze poświęconej „Riese" często przywoływana jest ciekawa sprawa kostek betonowych o wymiarze 20 x 20 x 20 cm odnalezionych przez różnych badaczy terenowych. Na Soboniu i na Osówce kilka takich kostek odnalazł Jurek Cera, który jako jedyny pokusił się na dokładniejsze badania. Otóż zlecił na swój koszt zbadanie kostek w Laboratorium Betonów na Wydziale Inżynierii Lądowej Instytutu Materiałów i Konstrukcji Budowlanych >>>

>>> Politechniki Krakowskiej, co miało miejsc na początku 2004 roku. Tak to wspomina:

„Same kostki, jak się okazało, miały różne klasy wytrzymałości. Było więc B20 i B25, ale jedna kostka podczas badań wykazała się nadzwyczaj dużą wytrzymałością – określaną jako B65 (gęstość pozorna betonu – 2,37 kg/ dm^3, wytrzymałość na ściskanie – 65,6 MPa). W tamtych czasach, zgodnie z normami dla obiektów fortyfikacyjnych, np. schronów bojowych, używano betonu klasy B50. Tutaj odnaleziony został beton wyjątkowo mocny. Wydawać by się mogło, że powinien on występować np. w tzw. „silowni" na Osówce, ale tak nie jest. Okazuje, że wykonane odwierty i potem poddane badaniu wykazały beton na poziomie B25, co było dużym zaskoczeniem. Tak więc mamy próbkę betonu, ale nie mamy... póki co lokalizacji wylania tej klasy betonu. Pamiętać należy, że próbki betonu pobiera się w miejscu jego wylewania lub produkcji, czyli można przyjąć taką hipotezę, że gdzieś jest beton o takiej mocy, ale my jeszcze tego miejsca nie znamy".

Ponadto Kolega Jerzy Cera ma na uwadze inną ciekawą hipotezę: same kostki mogą być związane z badaniami dr. Leonhardta nad nowym „ulepszonym" betonem, o czym już wcześniej wspomniałem. Jeśli już sam Leonhardt przyznaje, że w tym czasie zajmował się „sprężonym" betonem, to musiał przecież co chwilę swoje nowatorskie pomysły sprawdzać w sposób doświadczalny. Nie byłoby to dla niego żadnym problemem na tak wielkiej budowie jak IG Schlesien, gdzie codziennie betoniarnie pracowały na pełnych obrotach. Kolega Jerzy udostępnił mi niezwykle cenny dokument z 20 czerwca 1944 roku, podpisany przez dr. Leonhardta w... Walimiu, będący swego rodzaju rozważaniami nad nową technologią betonu sprężonego z wykorzystaniem drutów ciągnionych na zimno. Ciekawostką jest to, że Leonhardt podpisał się jako inżynier konsultant (doradca) Narodowosocjalistycznego Związku Techniki Niemieckiej (NSBDT – Nationalsozialistische Bund Deutscher Technik).

Warto uwzględnić jeszcze jeden trop. Beton klasy B60 zaliczany jest do betonów o wysokiej wytrzymałości i stosowany jest między innymi na filary, podpory mostowe.

Być może należałoby zwrócić większą uwagę na betonowe podpory po byłej bocznicy kolejowej, biegnącej onegdaj ze stacji Głuszyca w kierunku Kolc.

Autor składa serdeczne podziękowania Marcinowi Paskowi, Grzegorzowi Sanikowi oraz Jurkowi Cerze za okazaną pomoc w badaniach terenowych oraz za udostępnione zdjęcia i materiały archiwalne dla potrzeb niniejszego artykułu. <

Romuald Owczarek

Kostka betonowa 20x20x20 cm o wysokiej klasie wytrzymałości B65.

PRZYPISY

[1] D. Garba „Tajny projekt III Rzeszy FHQu „Riese", Technol Kraków 2012, str. 287
[2] www.wuestewaltersdorf.de
[3] J. Kleinmanns, Ch.Weber „Fritz Leonhardt 1909-1999. Die Kunst des Konstruierens", Stuttgart/London 2009, str. 172-175.
[4] D. Garba „Tajny projekt ...", str. 304-311.

Riese przewodnik.
Wincenty Jerzy Drożyński.
To nie jest typowy przewodnik. Zawartych tu informacji nie można traktować jako prawdy objawionej. Sensu stricto publikacja ta nie stanowi wartości historycznej. Może być jedynie postrzegana jako przedstawienie zbioru miejsc i opowieści świadków oraz legend z tym związanych.
Reszta jest wolną interpretacją autora i osób z nim współpracujących.
Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Ogólny widok na kompleks Zittwerke w Sieniawce.

PAMIĘĆ O ZITTWERKE

JANUSZ SKOWROŃSKI

Łużycka Grupa Poszukiwawcza przywraca pamięć o Zittwerke AG. Poszukuje świadków, bada dokumenty. I wyjaśnia, gdzie się tylko da, że Sieniawka, dawne Kleinschönau – to nie jest Zittau.

Łużycka Grupa Poszukiwawcza – od lewej: Artur Zabłotny, Piotr Rodzik i Jan Witek.

Zittwerke miało być skutecznie wymazane z polskich powojennych map. Jako filia obozu Gross-Rosen oraz miejsce pracy więźniów, jeńców i robotników przymusowych lokowana była na mapach za polską granicą, za Nysą Łużycką, w odległym o trzy kilometry niemieckim Zittau, co nie odpowiadało prawdzie. W dodatku fabrykę, w której zorganizowano tajną produkcję zakładów lotniczych i silnikowych Junkersa (Junkers Flugzeug und Motorwerke AG) nazwano Zittwerke, więc nie zaprzątano sobie głowy, że w rzeczywistości może chodzić o Kleinschönau, nieodległe przedmieścia Zittau. A te po wojnie stały się polską Sieniawką, w pobliżu

fot. M. Sosnowski, J. Skowroński

której rozrastała się „wielka odkrywka", czyli kopalnia węgla brunatnego w pobliskim Turoszowie, kiedy to węglowy „worek turoszowski" w wyniku powojennej regulacji granicy przypadł Polsce.

W to miejsce trafił 19 marca 1945 roku Zdzisław Molenda, więzień Żabikowa, obozu głównego Gross-Rosen i jego filii Hartmannsdorf (obecnie Miłoszów koło Leśnej). „To, co ujrzałem po przybyciu do obozu w Zittau, przechodziło wszelkie ludzkie wyobrażenia. Było to prawdziwe dno piekła na ziemi. W obozie przebywali Żydzi, pochodzący przeważnie z Węgier – pisał po latach we wspomnieniach Molenda. – Sami esesmani mówili o obozie Vernichtungslager (obóz wyniszczenia). Były to trzysilnikowe samoloty typu Junkers Ju 52, wykorzystywane przez Niemców do celów transportowych. Produkcja zlokalizowana była w ogromnym hangarze, w którym podczas I wojny światowej stacjonowały sterowce balonowe typu Zeppelin. Obóz mieścił się w jednym z fabrycznych gmachów i podzielony był na część męską i żeńską. Żydówki zajmowały się kuchnią, obsługującą więźniów oraz esesmanów. Dzienne racje żywnościowe składały się z 100 gramów chleba (słownie: stu) oraz litra przegotowanej wody, w której pływały obierki ziemniaczane, pochodzące z kuchni esesmańskiej".

Molenda – obok lekarza Zygmunta Kuliga i Władysława Kołłątaja – był jednym z trójki więźniów obozu Hartmannsdorf, który z chwilą likwidacji tej jednej z ponad stu filii obozu Gross-Rosen nie poszedł w połowie lutego 1945 roku w marszu śmierci do Buchenwaldu. Ciężko chory pozostał w obozie, czekając na rychłą śmierć. Z choroby cudem wyciągnął go współwięzień-lekarz Zygmunt Kulig z Krakowa. Trójka więźniów po opuszczeniu Hartmannsdorfu, doświadczyła w Kleinschönau kolejnego piekła, widząc tysiące wygłodzonych więźniów, głównie Żydów węgierskich, słowackich i polskich, zatrudnionych przy produkcji samolotów bojowych. Były tam także kobiety, na których wykonywano eksperymenty medyczne. Jedna z węgierskich Żydówek w Kleinschönau rozpoznała w jednym z esesmanów słynnego doktora Josefa Mengele – „anioła śmierci" z Auschwitz. Tu z oprawcą, jakim był Mengele, musiał zetknąć się także doktor Kulig, bo w tej sprawie w 1972 roku, był nawet przesłuchiwany. Ucieczka Mengele z Auschwitz, przez obóz główny Gross-Rosen i jego filie pozostaje pełna zagadek, ale kolejni świadkowie potwierdzają, że mogła przebiegać przez Dolny Śląsk >>>

Grafika kompleksu Zittwerke (wyk. Piotr Rodzik, ŁGP).

PAMIĘCI OFIAR TERRORU HITLEROWSKIEGO – OBYWATELI WIELU NARODÓW EUROPY, KTÓRZY W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ STRACILI SWOJE ZDROWIE LUB ŻYCIE WSKUTEK OSADZENIA I NIEWOLNICZEJ PRACY W MIESZCZĄCYCH SIĘ TUTAJ ZAKŁADACH PRODUKCJI LOTNICZEJ ZITTWERKE AG ORAZ NIEMIECKIM OBOZIE PRACY KLEIN-SCHÖNAU – FILII OBOZU KONCENTRACYJNEGO GROSS-ROSEN.

ZUM GEDENKEN AN NS-OPFER – BÜRGER VIELER VÖLKER EUROPAS, DIE WÄHREND DES II. WELTKRIEGS INFOLGE DER INHAFTIERUNG UND ZWANGSARBEIT IM HIESIGEN FLUGWERK ZITTWERKE AG UND DEUTSCHEN ARBEITSLAGER KLEIN-SCHÖNAU – AUSSENLAGER DES KZ GROSS-ROSEN IHRE GESUNDHEIT EINGEBÜSST ODER IHR LEBEN VERLOREN HABEN

2017 r.

Pomnik odsłonięto 13.10.2017 r.

>>> i północne Czechy. A Mengele swoje eksperymenty medyczne przeprowadzał do końca.

Zygmunt Kulig opiekował się więźniami do wyzwolenia obozu Zittwerke, rozdzielał zapasy sucharów przywiezionych jeszcze z Hartmannsdorfu, gotował wywar z pokrzyw, opatrywał chorych. Po oswobodzeniu obozu przez Rosjan, zajął się grzebaniem zmarłych więźniów a pozostałych przy życiu przeniósł do miejscowego szpitala, w porozumieniu z radzieckim komendantem Zittau.

Walka o pamięć

Łużycka Grupa Poszukiwawcza powstała w Bogatyni w 2009 roku. Najaktywniejsi w niej to Artur Zabłotny, Piotr Rodzik i Jan Witek – prezes stowarzyszenia. Z przywracaniem pamięci o Zittwerke AG zmagają się od początku, aktywnie poszukują świadków, badają dokumenty, korespondują z całą Europą. Założyli stronę internetową, zrealizowali film dokumentalny „Mury mówią" (reż. Szymon Wasylów, film jest dostępny w internecie). I wyjaśniają, gdzie się tylko da – w IPN-ie, w Muzeum Auschwitz, że Sieniawka, że dawne Kleinschönau – to nie jest Zittau. Od trzech lat żyli ideą trwałego upamiętnienia tego miejsca. Tak powstał pomysł budowy pomnika. Napisali wniosek, przekonali radnych na sesji, burmistrza, który wsparł ich finansowo. Zaprezentowali dotychczasowe wyniki swoich badań. Kamień na pomnik przywieziono ze złoża granitu w Rogoźnicy. Taki symbol, gdyż przy wydobywaniu granitu pracowali i ginęli więźniowie w obozie głównym. Ale złoże rozciąga się dziś poza „Kamienne Piekło" Gross-Rosen – miejsce pamięci. Podobny pomnik, też z granitu, stanął w ubiegłym roku w Miłoszowie koło Leśnej.

„Póki co nie interesuje nas kopanie w ziemi", mówi o pracach w Sieniawce Artur Zabłotny.

Ale wkrótce może się to zmienić, bo wspomnienia Zdzisława Molendy nie dają członkom ŁGP spokoju.

fot. M. Sosnowski, J. Skowroński

We wspomnieniowej książce „Tylem zapamiętał" polski więzień z wielkopolskiego Leszna tak opisywał pierwsze dni wolności: „Za zgodą wojennego komendanta Zittau, Żydzi grasujący w okolicy miasta, mogli posiadać broń. Likwidowali ukrywających się esesmanów oraz wybijali bydło i nierogaciznę w gospodarstwach rolnych okolicznych wsi. Któregoś dnia kilku z nich przyprowadziło grupę wystraszonych Niemców, którzy mieli pochować zmarłych więźniów, których liczba zwiększała się z każdym dniem. Pod naszym nadzorem Niemcy wykopali dwie zbiorowe mogiły. W jednej z nich złożyliśmy zwłoki Żydów, w drugiej Aryjczyków – Polaków, Czechów, Słowaków i Ukraińców. To byli krańcowo wyczerpani więźniowie, pozostawieni w obozie Zittau, podczas marszu śmierci. Pochowaliśmy ok. 300 zmarłych. Poleciliśmy Niemcom przygotować okazały krzyż z dębowego drewna oraz dwie tablice z napisami określającymi ilości i narodowości spoczywających w mogiłach więźniów obozu śmierci. Niemcy wywiązali się z polecenia doskonale i już następnego dnia dostarczyli krzyż i tablice. Charakterystyczne, że treść napisów wypalonych na tablicach, mimo że zredagowana w języku polskim, była wypisana bezbłędnie. Po tygodniu doszliśmy do wniosku, że dalsza opieka nad pozostałymi przy życiu, ciężko chorymi więźniami, przerasta nasze możliwości. Brak było medykamentów, odpowiedniego wyżywienia, odzieży i przede wszystkim sił do wykonywania wyjątkowo ciężkiej pracy. Postanowiliśmy przenieść około 200 chorych do szpitala miejskiego w Zittau, gdzie aktualnie mieścił się niemiecki szpital polowy. Niemcy dostarczyli platformę z woźnicą i zaprzęgiem, i na niej przenieśliśmy partiami ciężko chorych do szpitala odległego o 3 km od obozu".

ŁGP poszukuje teraz dwóch zbiorowych mogił, o których

Poznań, 1999 rok. Zdzisław Molenda, były więzień obozu Gross-Rosen – filii Hartmannsdorf i Zittwerke. Z. Molenda napisał i wydał we własnym zakresie w 2007 roku wspomnienia z lat wojny i okupacji. To jedyne polskie świadectwo o zakładach Zittwerke.

wspominał Z. Molenda. Co do jednego miejsca, członkowie ŁGP mają uzasadnione podejrzenia. To całkiem niedaleko odsłoniętego pomnika.

Obecnie trwają rozmowy z wrocławskim Oddziałem IPN, by zajął się tym w sposób profesjonalny. Należy także wyjaśnić do końca, czy przy obozie działało krematorium. Członkowie ŁGP dysponują zeznaniami mieszkanki Izraela, Nawy Sawel, która przyjechawszy po wojnie do Sieniawki, potwierdziła ten fakt.

Teren, gdzie mieściło się Zittwerke, zdumiewa i przeraża swoim rozmiarem. To ponad 20-hektarowy zabudowany teren, częściowo zagospodarowany. Piotr Rodzik z ŁGP, dzięki technice komputerowej, odtworzył w trójwymiarze cały obozowy kompleks. Jego schemat stanął obok pomnika, także autorstwa P. Rodzika, objaśnia, z jak potężną zabudową mamy do czynienia. P. Rodzik chce uzupełnić opis planu Zittwerke o wersję niemiecką, bo coraz częściej zaglądają tu sąsiedzi zza Nysy Łużyckiej. Zadbano o to, aby napis na pomniku był dwujęzyczny – po polsku i niemiecku.

Dziś w części zachowanych domów po Zittwerke mieszkają ludzie, działa oddział szpitala zgorzeleckiego. Część hal to już ruina, choć jeszcze kilka lat temu były tu hurtownie i magazyny, inne zniknęły całkiem z powierzchni.

Uroczystość i wspomnienia

W połowie października 2017 roku przy bramie wjazdowej do Zittwerke miało miejsce uroczyste odsłonięcie pomnika. Uczestniczyli w niej przedstawiciele IPN, Muzeum Gross-Rosen, władze samorządowe, delegacje z elektrowni i kopalni „Turów", bogatyńskie zakłady pracy, szkoły. Podczas uroczystości grała kopalniana orkiestra. Synowie obu obozowych lekarzy-więźniów – Andrzej Kulig i Akacjusz Jarmała w towarzystwie burmistrza Bogatyni Andrzeja Grzmielewicza uroczyście dokonali aktu odsłonięcia pomnika. Zaś ks. Zbigniew Korab z pobliskiego Porajowa dokonał jego poświęcenia.

Przybyli także mieszkańcy Sieniawki a nawet Zittau. 90-letnia Annelore Gäbler zza Nysy Łużyckiej miała łzy w oczach, kiedy składała tu kwiaty. Jest naocznym świadkiem historii. Jesienią 1944 roku zamknięto jej szkołę handlową w Zittau, więc poszła do pracy. Uczniowie w zakładach Zittwerke w Kleinschönau czekali na zlecenia na potrzeby wojny. Młoda dziewczyna, dostała pracę w sekretariacie kierownika do spraw kontroli montażu. Któregoś dnia >>>

Obejrzyj film: „Mury mówią" – tajemnica kompleksu Zittwerke w Sieniawce (Łużycka Grupa Poszukiwawcza).

>>> uczennica dostała zlecenie, aby zanieść dokumenty do chronionego przez SS obozu koncentracyjnego. Wartownik już na nią czekał i bez zastrzeżeń wpuścił na teren obozu. W biurze spotkała swojego szefa w towarzystwie paru wyższej rangi oficerów SS. Gäbler nie wyklucza, że byli to lekarze z otoczenia, wspomnianego w filmie „Mury mówią" lekarza z obozu koncentracyjnego, Josefa Mengele. Po obejrzeniu filmu, który pojawił się także w wersji niemieckiej, przestała milczeć i członkom ŁGP opowiedziała w obecności niemieckiej prasy, co zobaczyła w Zittwerke:

„Widziałam ludzi, z których wielu było chorych i opadłych z sił, nie mogli chodzić; leżeli jeden obok drugiego na pryczach, gęsto ściśnięci, jak towar na regałach, na wielu poziomach. To był tragiczny widok. Prawie codziennie komando SS odstawiało drewniane skrzynie pełne zmarłych do krematorium w Zittau", wspominała w wywiadzie dla niemieckiej „Sächsische Zeitung".

Na początku 1945 roku uczniowie-praktykanci Wyższej Szkoły Handlowej zostali oddzieleni od więźniów. Jak przypuszcza Annelore Gäbler, wówczas Kiessling, prawdopodobnie mieli zbyt bliski kontakt, w szczególności z Żydami. Musieli więc oddać swoją legitymację wstępu na obszar strzeżony i od tej pory pracowali w warsztacie szkoleniowym. Podczas gdy większość jej koleżanek ze szkoły dostała pracę w fabryce włókienniczej braci Haebler i w spółce akcyjnej Braci Moras, ona i pięcioro innych uczniów pozostali. Jej ostatnim szefem był pełnomocnik ds. obcokrajowców. „To nie był człowiek, tylko bydle w obchodzeniu się z innymi", przypomina sobie. „Tyranizował wszystkich wokół siebie, ale my trzy pracownice, bałyśmy się cokolwiek komuś o tym powiedzieć". W międzyczasie sytuacja coraz bardziej zaostrzała się. Prawie codziennie były alarmy lotnicze. Duże piętno odcisnął na niej jej ostatni dzień w zakładzie produkcyjnym Zittwerke. Zawsze, kiedy tylko przegapiła swój autobus, szła na pieszo przez dawną ulicę Poritscherstraße a dzisiaj Brückenstraße. Nagle została skierowana przez żandarmerię polową na drugą stronę ulicy. Wtedy zobaczyła przy murze cmentarza Frauenfriedhof leżące ciała nieco wcześniej rozstrzelonych niemieckich żołnierzy. Kiedy opowiedziała o tym w domu, matka zdecydowała: „Koniec z tym, już nigdy więcej tam nie pójdziesz". Ta decyzja na pewno ocaliła ją przed najgorszym. „Również w starszym wieku te rzeczy nie dają mi spokoju", podkreśla dziś Annelore Gäbler. „Po obejrzeniu filmu musiałam po prostu opowiedzieć o moich przeżyciach. Być może mogę się przyczynić do tego, że coś takiego nigdy więcej nie będzie miało miejsca".

Po dziesięciu miesiącach starań Łużycka Grupa Poszukiwawcza może być dumna, że doprowadziła do końca upamiętnienie więźniów zapomnianego obozu. Grupa już wyznacza sobie kolejne cele – chce, aby Zittwerke zostało wpisane na listę miejsc pamięci narodowej, aby koniecznie poprawić błędy na mapach. I coraz głośniej prostuje historię o obozie, którego miano wykluczyć z historycznej świadomości. Zaprosili nawet naukowców z Uniwersytetu Mediów Europejskich z Poczdamu. Ci gościli tu już wcześniej, przybywając z Aleksandrem Schneiderem z Los Angeles, który wraz z ojcem przebywał podczas wojny w obozie Zittwerke. Ojciec nie przeżył wojny, spoczywa na cmentarzu w Sieniawce. Powstał nawet film o losach młodszego ze Schneiderów.

Losy trójki

Wkrótce Z. Kulig wraz z Z. Molendą i W. Kołłątajem wzięli kierunek na Görlitz. Przez Bunzlau doszli do Liegnitz, która była już polską Lignicą. Tam się rozdzielili. 17 maja od polskiej administracji państwowej otrzymali stosowne przepustki i rozdzielili się. Kulig powrócił do Krakowa, W. Kołłątaj na Opolszczyznę, a Z. Molenda do Leszna.

Ten ostatni został inżynierem – drzewiarzem. Zrobił nawet doktorat. Miał hobby – jako pilot prowadził z biurem podróży „Orbis" wycieczki do NRD. Na początku lat 80. trafił do Zittau. Postanowił zwiedzić obóz, w którym przebywał. Urzędujący w ratuszu burmistrz odesłał go... na polską stronę, do Sieniawki, dawnych przedmieść Zittau. „Bardzo chciałem zapoznać się ze stanem obozu i sprawdzić, czy zachował się pamiątkowy krzyż i tablice pozostawione przez nas, na zbiorowych mogiłach zamęczonych więźniów", pisał po latach.

Niestety, skomplikowany dojazd do miejsca swoich makabrycznych przeżyć obozowych, ówczesna sytuacja polityczna, wynikająca z faktu, że nie mógł samowolnie opuścić pilotowanej grupy i udać się przez wciąż strzeżoną granicę na polską stronę, w dodatku „na własną rękę", spowodowała, że wówczas tam nie dotarł.

A później już nie próbował.

Filie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Informator. Praca zbiorowa.
W 99 notach dotyczących obozów podporządkowanych komendanturze KL Gross-Rosen, których istnienie, zdaniem autorów, nie ulega wątpliwości, zawarto podstawowe informacje o tych obozach (położenie, data powstania, liczebność itp.). Każda nota zawiera również informacje o literaturze.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Janusz Skowroński
Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor kilku książek i licznych artykułów o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. Najnowsza jego książka to „Szpital leśny AK 665. Śladami partyzanckich fotografii w Puszczy Solskiej". Kontakt: loginfo@go2.pl

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

„REDUTA SUŁKOWSKIEGO”

ROBERT MAZIARZ

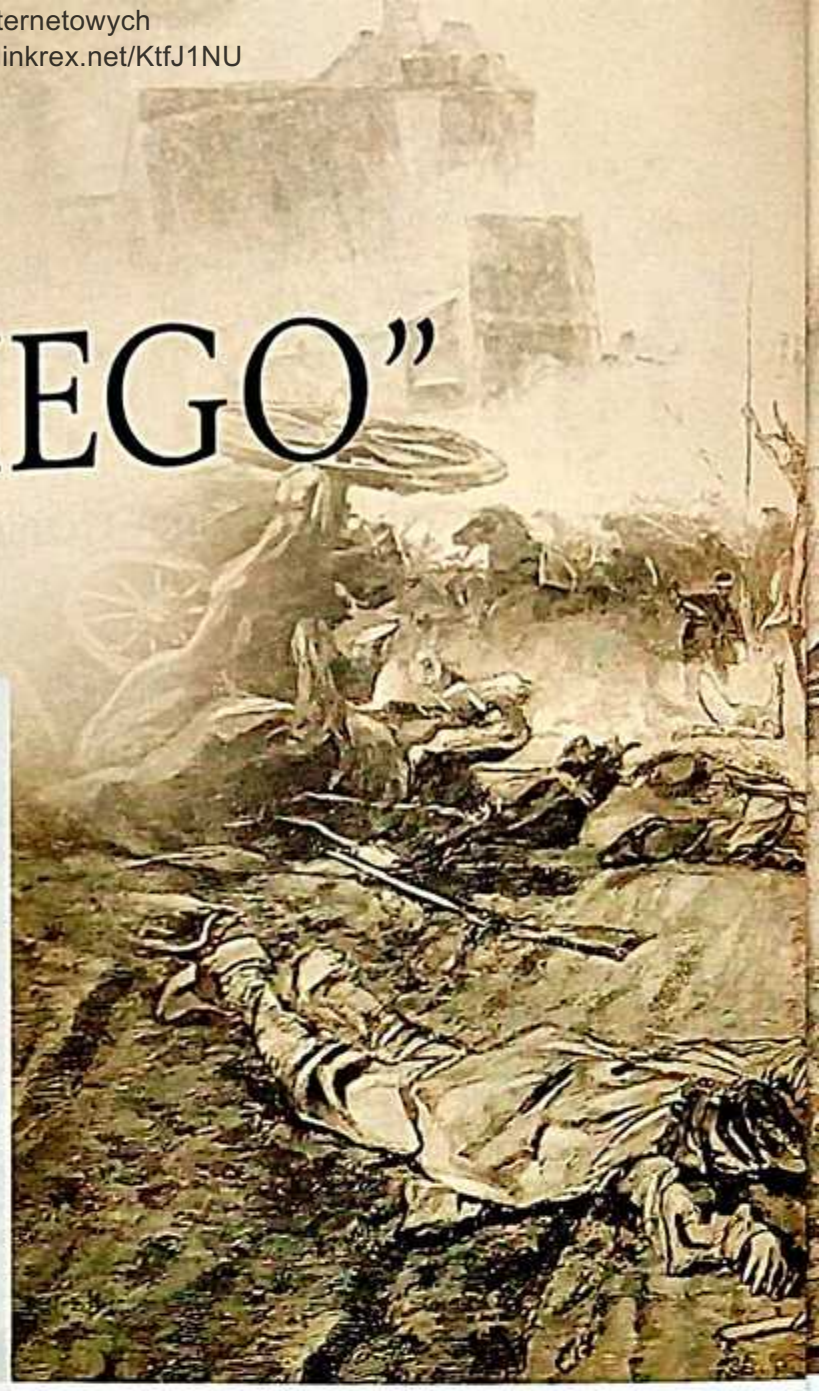

Założenie ziemne użytkowane w roku 1807 przez żołnierzy 1. Pułku Piechoty Legii Poznańskiej pod Kołobrzegiem.

W 1806 roku oficerowie Pruscy butnie ostrzyli swoje szable o schody ambasady Francji w Berlinie. Świat przekonany był o tym, że armia Fryderyka Wilhelma wygra konflikt zbrojny z nieokrzesanym Korsykaninem. Tak go nazywali – Napoleona Bonaparte, cesarza Francuzów. Okazało się, że sytuacja przerosła oczekiwania poddanych króla Prus. W dwóch wielkich bitwach stoczonych pod Jeną i Auerstedt armia pruska doznała klęski fizycznej i moralnej. Twierdze Fryderyka klękały przed Napoleonem. Kołobrzeg jako jedna z niewielu twierdz pruskich stawił czoła Wielkiej Armii i bronił się aż do pokoju w Tylży, wspierany drogą morską przez Anglię i Szwecję, będącymi członkami koalicji wymierzonej przeciw Bonapartemu. Powstał wówczas mit niezwyciężonej kołobrzeskiej twierdzy. W tym czasie Napoleon za pośrednictwem J.H. Dąbrowskiego dał sygnał Polakom, aby pokazali, że są godni być Polakami i mieć swoją ojczyznę. Proponuje im, by wzięli „sprawy” w swoje ręce. Wybucha powstanie, w wyniku którego formowane są trzy legie: Poznańska, Kaliska i Warszawska. Na czele dywizji poznańskiej staje osobiście Dąbrowski. Pierwszym regimentem piechoty tej legii jest pułk sformowany dzięki magnatowi z zamku rydzyńskiego – Antoniemu Pawłowi Sułkowskiemu. Powstaje on w Gnieźnie i wyrusza wkrótce do walk na Pomorze. Sułkowski zostaje pułkownikiem. Regiment walczy o Gniew i Tczew, oblega Gdańsk. W związku z brakiem postępów związanych z oblężeniem Kołobrzegu przez wojska Wielkiej Armii, Polacy skierowani zostają pod nadmorską twierdzę. Przyczyniają się do zdobycia niepokornego miasta. Stają obozem na wschód od Kołobrzegu i dzielnie walczą nad Bałtykiem o wolność swojego narodu.

Dr Mass i dr Kroczyński, czyli historia tej samej historii

Polskim historykiem, który zgłębił temat związany z udziałem oręża polskiego w walkach o Kołobrzeg w 1807 roku i pozyskaną wiedzę usystematyzował, jest dr Hieronim Kroczyński. Z prac kołobrzeskiego historyka wiadomo o obozowaniu wojsk 1. Regimentu Legii Poznańskiej w lesie położonym na wschód od Kołobrzegu[1,2]. Zgodnie z jego opracowaniami wiadomo, że oddział dowodzony był przez Antoniego Pawła Sułkowskiego i stacjonował od kwietnia do lipca 1807 roku na terenie lasu miejskiego. Zabezpieczał on północno-wschodnią flankę wojsk Wielkiej Armii Napoleona oblegającą Kołobrzeg. Dr Kroczyński jednoznacznie wyznaczył obszar, na którym według jego badań stacjonowali Polacy. Wskazał rejon lasu, gdzie znajduje się m.in. obecna działka nr 6 obręb 8 w Kołobrzegu, tj. wysunięty w kierunku miasta zadrzewiony cypel, ograniczony linią północno-zachodniej ściany lasu leżącego na wschód od miejskiej zabudowy. Wskazany jako rejon obozowania żołnierzy 1. Pułku Piechoty Legii Poznańskiej teren stanowi obszar wyniesiony ponad otaczające go bagna i moczary. Jedynymi ciągami komunikacyjnymi prowadzonymi do omawianego miejsca są dwie groble. Jedna poprowadzona tam z rejonu lasu, przez

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

graf. Muzeum Kołobrzeskie „Patria Colbergiensis"

który przebiega obecnie droga krajowa nr 11, druga łącząca omawiany obszar z linią nadmorskich wydm. Jest też polna droga wzdłuż torów kolejowych w kierunku Kołobrzegu. Wskazany przez dr. Kroczyńskiego rejon stacjonowania polskich żołnierzy obejmuje ok. 15 ha powierzchni porośniętej lasem z przewagą dębów i buków.

Wykonane w terenie oględziny omawianej części lasu skutkowały odnalezieniem tam miejsca o ukształtowaniu przypominającym formą założenia ziemnego o proweniencji militarnej. Wstępnie sformułowano tezę, że można mieć do czynienia z reliktem szańca w formie reduty (wielobocznego wyniesienia w formie trapezu o bokach 109 x 91 x 82 x 85 m z widocznymi fragmentami założeń przypominających pozostałości wałów ziemnych i fosy). Na wybudowanie w omawianym rejonie reduty wskazywał już kołobrzeski pastor dr Johann Gottlieb Mass w swej publikacji pochodzącej z 1857 roku[3]. Według Massa wymienione dzieło obronne zostało wzniesione podczas oblężenia Kołobrzegu przez Wielką Armię Napoleona. Pastor wskazuje, że wróg wybudował redutę na Leśnym Polu w pobliżu nadbałtyckiej plaży, ulokował tam również groblę w poprzek solnego torfowiska. Należy tu podnieść, bazując na literaturze przedmiotu, że jedyną wykonaną w trakcie oblężenia Kołobrzegu groblą przebiegającą przez solne torfowisko jest ciąg komunikacyjny. Jej wykonanie przypisywane jest żołnierzom 1. Pułku Piechoty Legii Poznańskiej, wchodzącemu w skład Wielkiej Armii Napoleona[4]. Wymieniona, poprowadzona przez solne torfowisko grobla, przebiega między dawną nadmorską drogą z Kołobrzegu w kierunku Bagicza a miejscem odnalezionego założenia ziemnego, które zlokalizowane zostało około 800 m od plaży. Oprócz cytowanego fragmentu opracowania dr. Massa i odnalezionej terenowej formy założenia ziemnego nie dotarłem dotychczas do źródeł wskazujących na istnienie jakiejkolwiek innej reduty, która byłaby położona w pobliżu nadbałtyckiej plaży i wymienionej grobli.

Fritz Grotemeyer „Obrona Kołobrzegu w roku 1807".

Bazując na dostępnej literaturze ukazującej oblężenia Kołobrzegu w różnych okresach historii, jak również korzystając ze źródeł kartograficznych ustalono, że jedynymi formacjami wojskowymi mogącymi wykonać w tym miejscu redutę mogły być w XVIII wieku wojska rosyjskie lub pruskie podczas wojny siedmioletniej (co wykluczyły przeprowadzone później badania). Mogli to być również żołnierze Wielkiej Armii Napoleona w roku 1807 >>>

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

>>> (co zostało późniejszymi badaniami potwierdzone). Należy przyjąć więc tezę mówiącą o fakcie zlokalizowania reduty użytkowanej przez Polaków i być może tożsamej z dziełem ziemnym opisywanym przez kołobrzeskiego pastora.

Pod ręką nowoczesne technologie...

Dzięki dostępnym środkom techniki (skaningowi laserowemu w technice LIDAR – Light Detection and Ranging) uzyskano zdjęcia odnalezionego obiektu. Na zdjęciu wykonanym dzięki wymienionej technice doskonale widoczne są zachowane relikty fos i wałów ziemnych. W wyniku badań dokonanych na materiale kartograficznym ukazującym rejon naszego zainteresowania, nie odnaleziono w poznanych dotychczas źródłach żadnej graficznej wskazówki, która mogłaby potwierdzić istnienie tam jakiegokolwiek obiektu przed rokiem 1807. Dopiero dokumentacja kartograficzna sporządzona po roku 1807 ukazuje w badanym miejscu pusty, pozbawiony drzewostanu obszar w lesie, plac w formie czworoboku. Najstarszym spośród pozyskanych źródeł kartograficznych powstałych po 1807 roku jest mapa pretopograficzna (Urmesstischblatt), ze zbiorów Staatsbibliothek zu Berlin, sygn. N 729 arkusz 521 Colberg, sporządzona przez porucznika Curio z 21. regimentu piechoty w 1835 roku. Wymienione źródło kartograficzne ukazuje w miejscu poczynionych prac poszukiwawczych nieporośnięty plac pośród drzew w formie trapezoidalnej. Wyrysowany przez por. Curio czworobok nosi na sporządzonej przez niego mapie nazwę „Die Horst". Obecnie obszar leśny, na którym odkryto relikty dzieła obronnego, otacza starodrzew, a ono samo obsadzone zostało po roku 1945 młodszym i różnym od pozostałego, występującego na badanym terenie drzewostanem. Uwidoczniony na wymienionym źródle kartograficznym, pozbawiony drzew leśny plac w formie trapezu jest zgodny kształtem i lokalizacją z odnalezionym w terenie jak również wskazanym dzięki technologii LIDAR reliktem odkrytego dzieła obronnego. Na wszystkich przebadanych w wyniku kwerendy archiwalnej (powstałych po roku 1807) źródłach kartograficznych mamy do czynienia z ww. obiektem. Jego powstanie wiązać można wprost z działaniami żołnierzy, polegającymi na wykarczowaniu przez nich części lasu w celu stworzenie otoczonej wałem ziemnym i fosą reduty.

... i źródła kartograficzne.

Obok miejsca, które zinterpretowane zostało jako relikt założenia ziemnego o funkcji militarnej przebiegała lokalna droga. Istnieje ona do dziś i wciąż ujrzeć ją można na szczegółowych mapach topograficznych. Wówczas prowadziła przez podmiejskie moczary (Schlackerei) do Kołobrzegu. Należy w tym miejscu ponownie przywołać opracowanie dr. Massa, który wskazuje, że podczas oblężenia miasta wróg wybudował poprzez wymienione moczary groblę prowadzącą od reduty w kierunku Kołobrzegu[3]. Obecnie droga nadal przebiega przez obszar podmokły, wzdłuż nasypu kolejowego przy torowisku na

„Żołnierze Sułkowskiego". Akwarela wykonana przez Ewę Wendland – Dyrektor muzeum w kołobrzeskim ratuszu.

trasie Kołobrzeg – Koszalin. Na arkuszu 147a mapy Kreis Kolberg -Korlin, Reg.Bez. Koslin, wydanej w roku 1890 na podstawie pomiarów wykonanych w 1889 również widzimy tę drogę oraz pusty plac pośród drzew w formie trapezu.

Mapy, stare księgi i plany sytuacyjne

W wyniku kwerendy dokonanej na źródłach kartograficznych pochodzących z XIX i XX wieku ustalono, że w kierunku równiny „Binnenfeld", która znajduje się na wschodnich przedpolach Kołobrzegu a bronionych w roku 1807 przez pruskich obrońców twierdzy, biegły z kierunku lasu miejskiego dwa ciągi komunikacyjne. Wskazać można je również w terenie do dziś. Pierwszy z nich pokrywa się z obecną szosą w kierunku Koszalina, a drugi przebiega obok odkrytego ziemnego założenia obronnego w formie reduty. Posiadając wiedzę, wskazującą na fakt długookresowego (wielowiekowego) wykorzystywania przez ludzi ciągów komunikacyjnych, należy przyjąć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że druga z wymienionych dróg (prowadząca z lasu poprzez wzmocnioną palami groblę w kierunku Kołobrzegu) istniała już dużo wcześniej, jeszcze przed przybyciem pod Kołobrzeg wojsk Wielkiej Armii Napoleona. Odnaleziona reduta wybudowana została zapewne bezpośrednio przy opisywanym szlaku. Stanowiła przypuszczalnie obiekt strzegący ciągu komunikacyjnego przez moczary z Kołobrzegu w kierunku wschodnim i/lub przygotowane do obrony okrężnej przydrożne żołnierskie obozowisko.

Walki o nadbałtycką twierdzę doczekały się wielu opracowań. Jednym z nich jest nadmieniana wyżej książka autorstwa kołobrzeskiego pastora dr. J. Massa. Napisana przez niego pozycja zatytułowana „Die Belagerung Colberg's im Jahr 1807" jest najstarszą, spośród wszystkich, z którymi się zetknąłem, wskazującą na istnienie założenia o nazwie „Reduta Polska". Dla pruskiego zaborcy Polska wówczas nie istniała, stąd być może małe zainteresowanie badaczy niemieckich obecnością Legii Poznańskiej pod Kołobrzegiem. Małżonką Massa była Polka. Dlatego przypuszczalnie w swojej książce wydanej z okazji pięćdziesiątej rocznicy obrony miasta wyraźnie wskazał na istnienie reduty nazywanej wówczas redutą „La Polonaise". Kołobrzeski pastor nazwał rzecz po imieniu i wskazał jej numer. Wg kołobrzeskiego pastora polska reduta nosiła nr 8. Na sporządzanych w latach późniejszych planach wykonanych przez niemiecki Oddział Historii Wojen Sztabu Generalnego ukazujących sytuację pod Kołobrzegiem w 1807 roku spotykamy redutę o wymienionej przez autora numeracji[5]. Wrysowano ją na południowy zachód od odnalezionego przez nas dzieła obronnego. Mając na uwadze fakt, że plany Oddziału Historii Wojen Sztabu Generalnego są tylko opracowaniami a nie źródłami służącymi do ich tworzenia, można wysunąć tezę, że odnaleziona przez nas reduta jest założeniem ziemnym wskazywanym przez dr Massa – redutą nr 8 „La Polonaise". Za tym stanem rzeczy przemawia fakt, iż grafiki wykonane przez Sztab Generalny ukazują tylko sytuację wokół oblężonego Kołobrzegu i naniesione zostały na mapę okolic miasta wykonaną po roku 1889. Plany stanowią ogólny zarys mający ukazać działania wokół twierdzy podczas jej oblężenia. Dodatkowo potwierdza tę tezę brak jakiegokolwiek śladu w terenie, wskazującego na istnienie założenia ziemnego na obszarze zaznaczonym na wymienionych planach sytuacyjnych. Ślady te odnajdujemy nieopodal.

Czas było ruszyć w teren

By potwierdzić lub wykluczyć proweniencję odnalezionego reliktu sztuki obronnej, zainicjowano na działce nr 6 obręb 8 w Kołobrzegu prace poszukiwawcze. Zostały one przeprowadzone w sierpniu 2015 roku. Kierownikiem wymienionych prac był archeolog Olaf Popkiewicz.

Fragment arkusza mapy Kreis Kolberg--Korlin, na którym wskazano odkrytą redutę.

Wynikiem eksploracji było odnalezienie szeregu zabytków (82 szt.), wśród których dominowały elementy związane z wyposażeniem militarnym (fragmenty uzbrojenia, guziki wojskowe, amunicja, wytopki ołowiu). Tylko 15 spośród odnalezionych 82 przedmiotów ma charakter cywilny. Pozyskane przedmioty oraz ich ilość wskazują bezsprzecznie na stacjonowanie w miejscu odnalezionego założenia ziemnego jednostki militarnej w okresie oblężenia kołobrzeskiej twierdzy przez wojska Wielkiej Armii Napoleona w 1807 roku. Literatura oraz odkryte dotychczas źródła nie wskazują bowiem, by w rejonie przeprowadzonych prac poszukiwawczych stacjonowali żołnierze mogący używać elementów umundurowania, jak również uzbrojenia zgodnego z odnalezionym tam w terenie, w innym okresie niż podany powyżej. To m.in. fragmenty broni, jelec półszabli, hak pochwy i munsztuki od tasaków pruskich, sprzączki od pasów karabinów pruskiej piechoty, okucie pruskiego pasa piechoty, fragmenty akselbantów oraz francuskie guziki mundurowe.

Co potwierdziło stacjonowanie żołnierzy

Oprócz samego faktu odnalezienia w obrębie założenia ziemnego wielu fragmentów umundurowania i uzbrojenia, o stacjonowaniu i obozowaniu wojska świadczą przede wszystkim duże ilości niewystrzelonych pocisków do broni oraz, co należy szczególnie podkreślić – wytopki ołowiu. Niewystrzelone kule ołowiane oraz wytopki materiału służącego do ich wytwarzania stanowią typowe elementy odnajdywane >>>

graf. Muzeum Kołobrzeskie „Patria Colbergiensis"

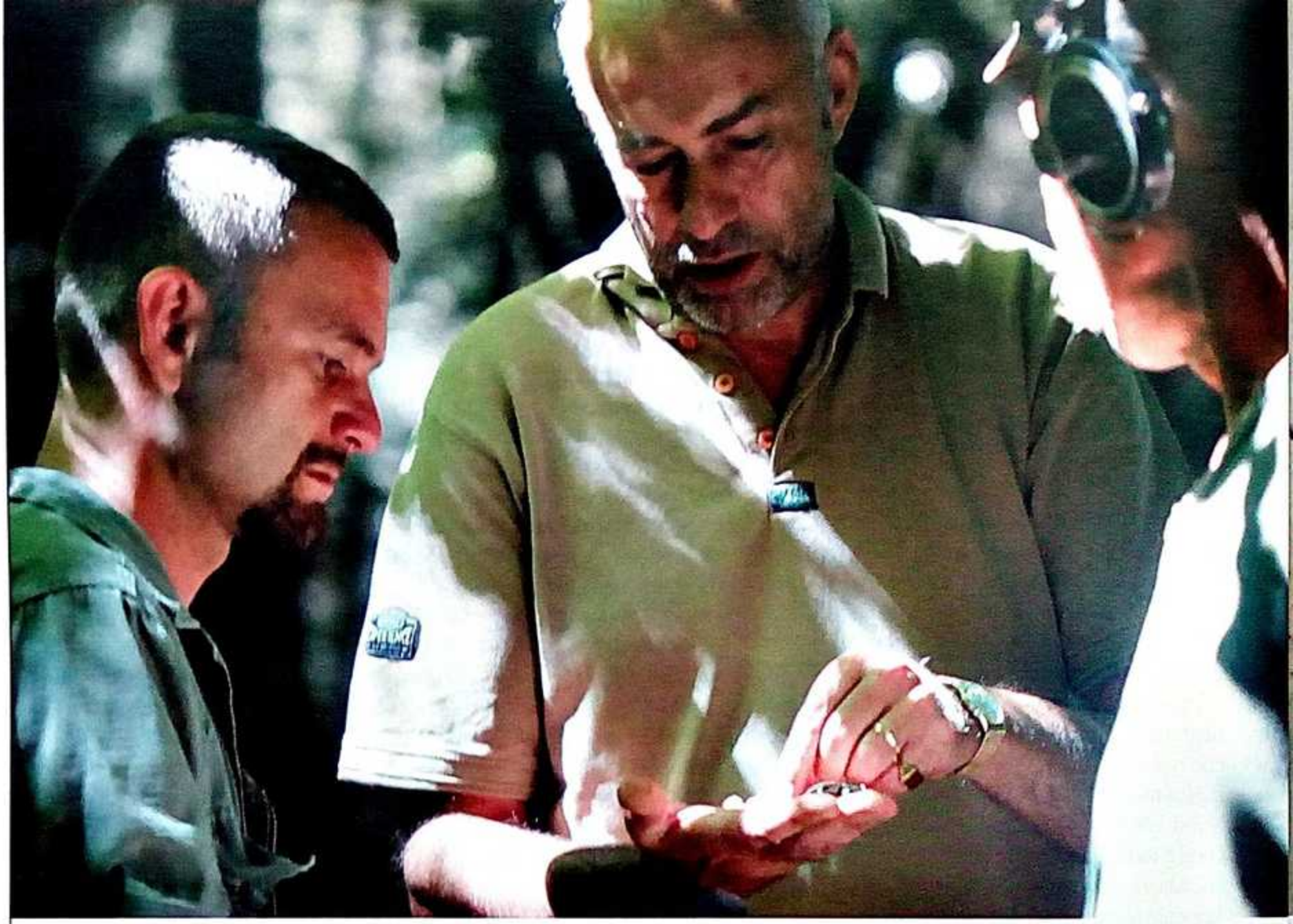

Autor artykułu wraz z archeologiem Olafem Popkiewiczem i pasjonatem historii Władysławem Obuchowskim podczas oględzin znalezisk.

Fot. Aleksandra Kurcman, Olaf Popkiewicz

>>> nie na polach bitewnych, lecz w miejscach stacjonowania żołnierzy. Powyższe, odnalezione na terenie założenia ziemnego elementy, są niezbitym dowodem na użytkowanie odnalezionej reduty przez jednostkę wojskową. Dodatkowymi elementami mogącymi potwierdzić datowanie okresu stacjonowania oddziału wojskowego na poddanym badaniom terenie są odnalezione w czasie prac monety, tzw. „trojaki pruskie". Najmłodszy odnaleziony numizmat pochodzi z roku 1805. Konstatując powyższe, sądzę, że odnalezione relikty dzieła ziemnego użytkowane były przez jednostkę bojową wchodzącą w skład Wielkiej Armii pod wodzą Napoleona Bonaparte i stojącą tam obozem w 1807 roku.

Biorąc pod uwagę dane zawarte w literaturze przedmiotu oraz wynikające z analizy dostępnych źródeł kartograficznych, a świadczące niezbicie o fakcie stacjonowania w analogicznym okresie, w rejonie odkrytego dzieła ziemnego 1. Pułku Piechoty Legii Poznańskiej, należy wysunąć tezę, że odnalezione zostało dzieło w formie reduty użytkowanej przez Polaków walczących w Wielkiej Armii Napoleona pod Kołobrzegiem w 1807 roku.

Guziki numer 1

Dodatkowo za przyjęciem tezy, że odnalezione relikty założenia fortyfikacyjnego przypisać należy Polakom, przemawiają odnalezione w trakcie prac badawczych guziki o proweniencji militarnej. Spośród pozyskanych tam dziesięciu sztuk guzików sygnowanych numerami pułków, trzy stanowią guziki będące typowymi elementami umundurowania wojsk francuskich z omawianego okresu. Natomiast kolejnych siedem sztuk jest innych w formie od pozostałych, posiadających odmienny od francuskiego system mocowania, wykonanych z innego surowca (stopu cyny i ołowiu w przeciwieństwie do mosiężnych guzików pruskich i francuskich) oraz posiadających na swych awersach cyfrę „1". Należy oczywiście zauważyć, że oprócz żołnierzy polskich w roku 1807 roku stacjonowały jeszcze dwa pułki wchodzące w skład Wielkiej Armii noszące również numer „1". Były to: 1. włoski regiment piechoty liniowej[6] oraz włoski 1. regiment piechoty lekkiej[7], przy czym należy podkreślić, że jeden z wymienionych stacjonował w okolicy Mirocic i dzieliła go od odnalezionego dzieła obronnego znaczna odległość (ok. 2,5 km licząc w linii prostej), natomiast drugi stacjonował w jeszcze większym oddaleniu od odnalezionego założenia ziemnego – na terenie wsi Zieleniewo (w linii prostej ok. 6 km od odnalezionego obiektu fortyfikacyjnego). Z dużą dozą prawdopodobieństwa, graniczącą z pewnością,

należy przyjąć, że całość lub przynajmniej większość odnalezionego podczas prac poszukiwawczych wyposażenia, w tym guzików od mundurów, przypisać należy formacji wojskowej, która stacjonowała i funkcjonowała w miejscu ich zagubienia, natomiast ze źródeł kartograficznych oraz z literatury wiadomym jest od lat, że w tym rejonie stacjonował w przywoływanym okresie oddział Polaków.

Odnalezionych siedem sztuk guzików sygnowanych numerem „1" należy przypisać stacjonującemu w miejscu odnalezionej reduty oddziałowi 1. Pułku Piechoty Legii Poznańskiej. Wszystkie one wykonane są techniką odlewniczą ze stopu cyny i ołowiu. Są one pełne, płaskie i monolityczne. Nie posiadają sygnatur wytwórcy. Na awersach wszystkich siedmiu sztuk przedstawione są w odlewie wypukłe cyfry „1" o charakterystycznym kroju (podstawy cyfr zakończone są asymetrycznymi smukłymi szeryfami). Wszystkie omawiane guziki posiadają wyraźnie widoczne ślady po użytej do ich produkcji formie/formach odlewniczych. Na szczęście dotarliśmy do materiału porównawczego[8]. W wyniku przeprowadzonej analizy, poprzez analogię, należy łączyć je z przybyłym pod Kołobrzeg regimentem Legii Poznańskiej. Według opracowań ten rodzaj guzików przypisywany jest dotychczas 1. Szwadronowi 1. Brygady Kawalerii Narodowej w Dywizji Wielkopolskiej z lat 1789–1795, potocznie nazywanej Wielkopolską Brygadą Kawalerii Narodowej[9]. Brygada stacjonowała m.in. w Gnieźnie i na terenie ówczesnego Województwa Gnieźnieńskiego, tzn. w rejonie, który stał się w roku 1806 miejscem formowania przybyłego pod Kołobrzeg 1. Pułku Piechoty Legii Poznańskiej. Należy przypuszczać zatem, że odnalezione guziki trafiły pod Kołobrzeg jako tradycyjna spuścizna po mundurach z okresu I Rzeczypospolitej. Mogą one pochodzić wprost z mundurów sprzed 1796 roku, mogły też zostać na ich wzór wykonane przez wojsko powstałej w 1806 roku Legii Poznańskiej. Nie można wykluczyć posiadania przez żołnierzy pułkownika Sułkowskiego pozostałej po Wielkopolskiej Brygadzie Kawalerii formy odlewniczej, służącej wytwarzaniu omawianych guzików. Być może forma do odlewu guzików powstała po roku 1805 na wzór tej z okresu przedrozbiorowego. Powyższy wątek wymaga dalszych badań. Bezsprzecznym jest fakt, że obydwie omawiane jednostki bojowe wywodziły się z Wielkopolski a Legiony Dąbrowskiego, w skład których wchodził stacjonujący pod Kołobrzegiem 1. Pułk Piechoty, opierały się na polskiej >>>

Cynowe, monolityczne guziki opatrzone numerem „1" przypisywane żołnierzom Sułkowskiego.

>>> osiemnastowiecznej tradycji wojskowej.

Szwedzi, Nettelbeck i Prusacy

Należy wskazać również na bibliografię – opracowania m.in. dr. Hieronima Kroczyńskiego, który dotarł w swych badaniach do źródeł wskazujących na fakt, że stacjonujący w północno-wschodniej części Lasu Kołobrzeskiego w roku 1807 polscy żołnierze, oprócz budowania znajdującej się nieopodal przebadanego miejsca grobli, wykonywali również inne prace ziemne o charakterze obronnym. Miało to miejsce po ostrzale i zniszczeniu ich obozowiska przez pociski z bombardującej pozycje polskie fregaty szwedzkiej „Af Chapman". Fakt ten miał miejsce 15 maja 1807 roku. Kołobrzeski historyk odwołuje się tutaj do wspomnień pruskiego obrońcy twierdzy Rotha[10]. Prusak wspomina: „Obóz został wprawdzie w nocy ponownie przez Polaków zajęty, ale wkopali swoje obozowiska głęboko w ziemię i osłonili działami ziemnymi od strony morza".

Żołnierze polscy mieli podstawy ku temu, by się fortyfikować. Dowódca obleganej przez nich kołobrzeskiej twierdzy Gneisenau był świetnym taktykiem. Zastosował on metodę obrony aktywnej, tzn. częste wypady z twierdzy w celu niszczenia wroga i prac oblężniczych – działania nękające. Jak ustalono, Polacy stacjonowali na pozycji przy szlaku komunikacyjnym w kierunku Kołobrzegu, przy drodze prowadzącej poprzez stanowiące ochronę ich obozowiska mokradła (Schlackerei). Zawsze mogli spodziewać się ataku z tego kierunku. To żołnierze polscy 1. Pułku Piechoty skierowani zostali w ten niebezpieczny rejon działań oblężniczych, by m.in. zabezpieczać nadmorską drogę przed wypadami z twierdzy Prusaków. Jak dowodzą źródła, poczucie zagrożenia wzrosło po atakach artyleryjskich skierowanych w stronę ich obozowiska ze strony morza[10] przez dowodzoną przez majora Follina i przybyłą pod Kołobrzeg[6] szwedzką fregatę „Af Chapmann" oraz brytyjską korwetę „Phyleria"[11]. Dodatkowym zagrożeniem dla Polaków od strony morza były trzy uzbrojone łodzie rybackie wyekwipowane przez kołobrzeskiego mieszczanina J.Ch. Nettelbecka[11] oraz czwarta łódź przygotowana przez por. Fabe[12].

Dodatkowym argumentem przemawiającym za wynikającą z poczucia zagrożenia potrzebą przygotowania się do ewentualnej obrony przez polskich żołnierzy były wydarzenia z dnia 3 czerwca 1807 roku. Wówczas to okręty wspierające pruskich obrońców twierdzy skierowały w godzinach wieczornych pociski artyleryjskie w kierunku miejsca obozowania Polaków, a trzy godziny później wysłano tam uzbrojony desant w sile ok. 200 pruskich żołnierzy. W wyniku intensywnej walki próbujący zdobyć polskie pozycje Prusacy zostali odparci przez żołnierzy pułku Legii Poznańskiej[13].

PRZYPISY

[1] H. KROCZYŃSKI „Twierdza Kołobrzeg"
[2] H. KROCZYŃSKI „Wojsko Polskie na Pomorzu Zachodnim i Krajnie w 1807 roku"
[3] J. Maaß: Die Belagerung Colberg's im Jahr 1807. Eine Jubeldenkschrift. Nach geschichtlichen Quellen und eigenen Erlebnissen geschildert. Kolberg 1857
[4] H. KROCZYŃSKI „Barwa i Broń" Nr. 15 W-wa 1998)
[5] „Urkundliche Beiträge und Forschungen zur Geschichte des Preusischen Heeres; Kolberg 1806/1807". Berlin 1911
[6] E. HÖPFNER „Der Krieg von 1806 i 1807. Ein Beitrag zur Geschichte der Preußischen Armia nach den Quellen des Kriegsarchivs" część II . (2 wyd.)
[7] A. PFISTER „Denkwürdigkeiten aus der württembergischen Kriegsgeschichte des 18. und 19. Jahrhunderts"
[8] internet, www.buttonarium.eu
[9] M. MACHYNIA, CZ. SRZEDNICKI: „Oficerowie Rzeczypospolitej Obojga Narodów 1717-1794". T.1: „Oficerowie wojska koronnego", cz.1: „Sztaby i kawaleria". Kraków: Księgarnia Akademicka. Wydawnictwo Naukowe, 2002)
[10] W. ROTH: „Die Vertheidigung von Colberg im Jahre 1807" Berlin 1840
[11] A. RÖHR „Handbuch der deutschen Marinegeschichte". Berlin 1963
[12] U. GEHRKE „Heinrich George - Anfang und Ende" Hamburg 2005
[13] P. KROCZYŃSKI, „Udział Polaków w oblężeniu Kołobrzegu w 1807 r. W świetle aktu", „Koszalińskie Zeszyty Muzealne", t. 12, 1982

Twierdza Kołobrzeg – mapa turystyczna.
Arkadiusz Woźniakowski.
Oparta na materiałach archiwalnych i badaniach terenowych mapa pokazuje zachowane budowle przypominające dawną świetność oraz liczne obiekty militarne Twierdzy Kołobrzeg, które były rozbudowywane przez stulecia i broniły miasta oraz portu.
Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Naukowiec czuje niedosyt

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w wyniku badań przeprowadzonych przez archeologa Olafa Popkiewicza pod egidą Muzeum Kołobrzeskiego „Patria Colbergiensis" odkryto założenie ziemne o funkcji obronnej w formie reduty. Użytkowane ono było przez polskich żołnierzy w 1807 roku. Prof. UAM dr hab. Grzegorz Podruczny, dokonując wizji lokalnej odnalezionego dzieła, oraz poddając analizie zespół pozyskanych tam w wyniku prac poszukiwawczych zabytków, potwierdził wysuwaną tezę mówiącą o odnalezieniu reduty po 1. Regimencie Legii Poznańskiej, przy czym zauważył, że należy podjąć działania mające na celu przeprowadzenie dalszych badań w kontekście usystematyzowania wiedzy na temat jej budowy oraz sposobu jej użytkowania. Na chwilę obecną nie można jednoznacznie stwierdzić, czy odkryta reduta stanowiła miejsce obozowania Polaków, czy była obsadzoną przez nich formą założenia służącego zabezpieczeniu lokalnej drogi i wyznaczonego odcinka oblężenia. Mam nadzieję, że na pytanie powyższe odpowie nam historia...

Robert Maziarz
Muzeum Kołobrzeskie
„Patria Colbergiensis"

CZĘŚĆ 2

ZIDENTYFIKOWANO MOGIŁY JEŃCÓW Z 1864 R.

ANDRZEJ DOBKIEWICZ, SOBIESŁAW NOWOTNY

Ciekawego odkrycia dokonano w Świdnicy (Dolny Śląsk). Zidentyfikowano tu miejsce pochówku siedmiu duńskich żołnierzy, wziętych do niewoli podczas wojny prusko-duńskiej w 1864 r.

Danske Krigsfanger i Schweidnitz. 1864. 20. Regt.
A. Paulsen, Blans. Ch. Christiansen, L. Nissen, P. Petersen.
Fr. Hansen, Nybol. Petersen, Lor. Jessen, Dynt.
Sorensen C. Christensen. Blans F. Wilhelmsen Sønderborg C. Hansen, H.C. Hansen
P. V. Müller Fr. Jørgensen.

Wspomnienia Nielsa Pedersena Uttrupa

Interesujące wspomnienia na temat pobytu Duńczyków w Świdnicy sporządził jeden z żołnierzy więzionych w Świdnicy. Jest to krótki dziennik Nielsa Pedersena Uttrupa, który urodził się w 1834 roku na farmie Mariebjerg (parafia Houtved). Jego ojciec Peder Jensen Utrup był rolnikiem, ożenionym z Ane Hansdatter. W wieku 29 lat, w grudniu 1863 roku Niels został zmobilizowany w Kopenhadze. Uczestniczył w bitwie pod Dybbøl, gdzie został wzięty do niewoli. Więziony do 1 czerwca 1864 roku w Świdnicy, a następnie w austriackim Salzburgu do 13 sierpnia. Zwolniony z niewoli wrócił do rodzinnej Danii 20 sierpnia 1864 roku. Trzy lata później ożenił się w Binderup z Karen Kirstine Nielsen, dochowując się wraz z nią 12 dzieci. Zmarł w 1903 roku. Jego wspomnienia o wojnie w 1864 roku, spisane dwa miesiące po powrocie z niewoli, są niezwykle cennym źródłem informacji, m.in. o pobycie Duńczyków w Świdnicy.

„Przyjechaliśmy do Berlina, stolicy Prus w godzinach wieczornych. 638 mil od Hamburga i stamtąd, tego samego wieczoru pojechaliśmy dalej, docierając 23 kwietnia m.in. przez Strzegom i Jaworzynę do Świdnicy, 43 mile od Berlina. Zakwaterowano nas w tym samym dniu w kazamatach w wale ziemnym. Warunki są złe. Jest w nich wilgotno, a z okien mamy widok na duży mur.

Dostajemy codziennie obiad na kartki albo za 9 fenigów oraz raz na pięć dni herbatę. Dziś dostaliśmy bochenek chleba, ale zarówno twardy chleb, jak i ten obiad nie są takie, do jakich byliśmy przyzwyczajeni w Danii. Ale jako więźniowie nie odważyliśmy się narzekać. Jesteśmy w mieście, które jest silnie umocnione. Ta twierdza była jedną z pierwszych twierdz w Prusach, kraju, którego Francuzi nie mogli tak łatwo zdobyć w wojnie prowadzonej kilkadziesiąt lat temu.

Codziennie musimy ciężko pracować przy porządkowaniu starych fortyfikacji i codziennie znajdujemy ślady po starych wojnach na terenie dawnych fortyfikacji. Czasami znajdujemy resztki granatów i pocisków w starym wale.

W dniu 8 maja byłem w kościele w Świdnicy i słuchałem niemieckiego kaznodziei, ale nie mogłem go zrozumieć, ponieważ nie znam dobrze tego języka. 9 maja byłem na pogrzebie jednego z naszych towarzyszy, którzy zakończył swoje dni w Prusach, ale otrzymał godny pochówek i przynajmniej będzie miał wystawiony nagrobek, do czego wielu duńskich żołnierzy się przyczyniło.

Musimy nadal codziennie iść do pracy, ale nie jesteśmy w stanie dużo zrobić. Praca jest ciężka, a płace i jedzenie są kiepskie. Nasz podoficer był wczoraj u komendanta, który obiecał Duńczykom, że jeżeli będziemy dobrze pracować, otrzymamy lepsze jedzenie i płacę. Podoficer powiedział komendantowi, że nie może być narzucana ciężka praca przy takich płacach i jedzeniu. Ale komendant powiedział, że mógłby żołnierzy do tego zmusić, a w przeciwnym może nas ukarać.

Teraz chciałbym powiedzieć w pierwszej kolejności, że byłem znowu na pogrzebie w dniu 23 maja, dwóch naszych towarzyszy, których pochowaliśmy w ziemi. Jeden był żonaty i miał żonę i dwoje dzieci, a drugi był młodszy i miał ojca, i matkę.

Teraz można sobie zadać pytanie, czy osiągnęli swoje cele, które Pan określił? Oni dobrze walczyli razem z nami w dniu 18 kwietnia, gdzie tak wielu musiało złożyć wielką ofiarę z własnej krwi. Ale czas wojny się dla nich skończył. Ci, których pozostawili w domach, będą za nimi tęsknić, oczekując na ich powrót.

Ksiądz wygłosił przemowę o zmarłych, ale nie wywarła ona na nas dużego wrażenie, ponieważ nie rozumieliśmy dobrze języka. I gdy staliśmy przy marach, duński oficer, który został wzięty do niewoli razem z nami, wygłosił ostatnie pożegnanie:

»Niewielu spośród was dzielni żołnierze zrozumieli, co ksiądz powiedział. A to jest zbyt mało, aby wam, towarzysze, okazać słowa prawdziwego pocieszenia. Nie jestem duchownym, – powiedział. – Teraz ja tu jestem jeńcem, >>>

Fot. https://1864live.files.wordpress.com/2014/05/danske-krigsfangere.jpg, Archiwum Michaela Bacha

Jeńcy duńscy w Świdnicy. Zdjęcie z 1864 roku.

Tablica na grobie Andreasa Christensena.

>>> jak inni, ale jestem przecież oficerem i mam pod tym względem jednak przewagę. Stoimy nad grobem zmarłych, dzielnych żołnierzy, którzy pozostawili w domu, gdy wyruszali na wojnę, to ojca i matkę, siostrę i brata, a może kochankę, którzy opłakują go w tej chwili. Ciężko nam też żegnać drugiego, który miał żonę i dzieci, które czekają na powrót ojca do domu. Będzie to tragiczna wiadomość i żałoba, że pochowaliśmy tu w ziemi ich ojca i opiekuna. Mamy już dość bycia jeńcami tutaj – powiedział – ale nie musimy się wstydzić, jesteśmy jeńcami. Mamy być wierni przysiędze, jaką złożyliśmy naszemu królowi, i powinniśmy ją zachować aż po ostatnie dni tak, jak tych trzech, którzy właśnie spoczywają tu w grobie. Tym samym będzie to dla nich nasze ostatnie pożegnanie. A zatem odpoczywajcie w pokoju. Amen.«

25 maja znowu byłem znowu na pogrzebie, był to już czwarty Duńczyk, który został tu pochowany. Razem z nim opuszczona została duńska flaga, gdy był opuszczany do grobu. Zakupił ją duński podporucznik, który stojąc przy jego grobie powiedział parę słów. Gdy kapłan zakończył przemowę na temat zmarłego, przyprowadzając wszystkich oficerów do grobu, wszyscy żołnierze i cywile brali garstkę ziemi i rzucali na trumnę, ponieważ taki panuje tu w Prusach zwyczaj.

Zdjęcie przedstawiające dokładne położenie siedmiu kwater duńskich żołnierzy. W tle pomnik Prusaków i Austriaków zmarłych w świdnickim lazarecie, w wyniku odniesionych ran w wojnie prusko-austriackiej w 1866 roku. Małe metalowe krzyże obok duńskich mogił to groby jeńców rosyjskich z czasów I wojny światowej.

Ostatnia informacja mówiąca o pielęgnowaniu grobów duńskich jeńców na cmentarzu garnizonowym w Świdnicy z 11 listopada 1943 roku.

Zauważyłem, że mieszczanie byli przejęci naszym losem i godnie towarzyszyli zmarłym ulicami miasta od kościoła garnizonowego, przy żałobnej muzyce, jak to jest w zwyczaju. W sumie mogę powiedzieć, że zostali godnie pochowani w obcym kraju (...) Otrzymaliśmy wiadomość, że mamy jechać do Austrii z wyjątkiem kilku osób. Mogłem zostać i poczekać na pieniądze z domu, ale porucznik powiedział, że powinny one przyjść do nas. Więc zdecydowałem się podróżować razem z innymi moimi towarzyszami i wyjechaliśmy ze Świdnicy 1 czerwca 1864 roku".

Korespondencja

Z uwagi na likwidację cmentarza i brak informacji o nim w zachowanych archiwach, sprawa duńskich żołnierzy pochowanych na cmentarzu w Świdnicy zapewne nie ujrzałaby światła dziennego. Andrzejowi Dobkiewiczowi [współautorowi tego tekstu – przyp. red] udało się jednak nawiązać kontakt z duńskim badaczem historii Michaelem Bachem z Kopenhagi, autorem strony internetowej, poświęconej duńskim grobom wojennym i pomnikom z lat 1848–1850 i 1864 roku. Dzięki temu udało się uzyskać bezcenne informacje, w oparciu o zachowane w duńskich archiwach dokumenty.

Okazało się, że zachowały się fragmenty korespondencji Duńczyków z dowództwem świdnickiego garnizonu z października i grudnia 1886, maja i września 1894, kwietnia 1896, sierpnia 1906, lipca 1933 i listopada 1943 roku. Dowodzą one, jaką dbałością Duńczycy otaczali groby swoich żołnierzy, w czym pomagała komendantura świdnickiego garnizonu. Duńczycy poszukiwanie grobów swoich żołnierzy w Prusach rozpoczęli w 1885 roku, wysyłając do wielu miast swoich wysłanników. Do Świdnicy przyjechał kapitan V. E. Tychsen z Korpusu Inżynieryjnego Królewskiego Duńskiego Ministerstwa Wojny. Kilka miesięcy później, na wniosek duńskiego Ministerstwa Wojny, wykonane zostały marmurowe nagrobki pochowanych na cmentarzu garnizonowym żołnierzy. Z zachowanej korespondencji wynika, że co roku Duńczycy przysyłali kwotę 15 marek na utrzymanie grobów, finansowali także ich renowacje. Tak było w 1886 roku, kiedy zapłacili 220 marek za odnowienie nagrobków rzeźbiarzowi Knewelowi i grabarzowi Schillerowi. 16 czerwca 1893 roku Tychsen ponownie przyjechał do Świdnicy na inspekcję, po której wnioskował do komendantury garnizonu o odnowienie złoconych liter na nagrobkach, czego dokonał rzeźbiarz Ullrich, a stolarz Hornach wykonał drewniane obramowania mogił. Kolejne renowacje i konserwacje grobów wykonał w 1906 roku rzeźbiarz świdnicki Rudolf Schirmer. Pismo komendantury świdnickiego garnizonu z 26 lipca 1933 roku pozwoliło na wyjaśnienie zagadki, kto był pochowany obok Duńczyków. Otóż Niemcy pomyłkowo wystawili rachunek Duńczykom za konserwację lub ustawienie metalowych

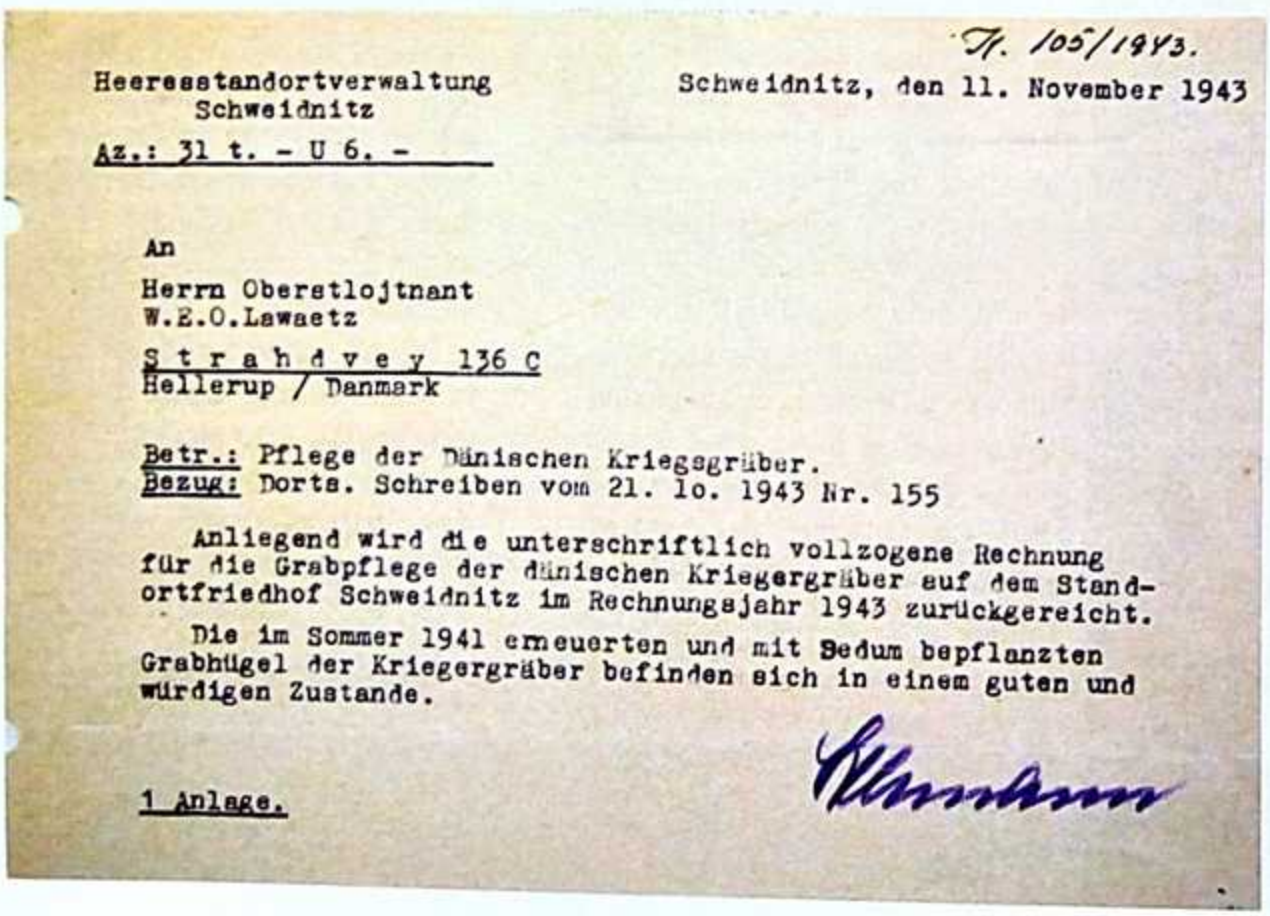

Tf. 105/1943.

Heeresstandortverwaltung
Schweidnitz

Schweidnitz, den 11. November 1943

Az.: 31 t. - U 6. -

An
Herrn Oberstlojtnant
W.E.O.Lawaetz
Strandvey 136 C
Hellerup / Danmark

Betr.: Pflege der Dänischen Kriegsgräber.
Bezug: Dorts. Schreiben vom 21. 10. 1943 Nr. 155

Anliegend wird die unterschriftlich vollzogene Rechnung für die Grabpflege der dänischen Kriegergräber auf dem Standortfriedhof Schweidnitz im Rechnungsjahr 1943 zurückgereicht.

Die im Sommer 1941 erneuerten und mit Sedum bepflanzten Grabhügel der Kriegergräber befinden sich in einem guten und würdigen Zustande.

1 Anlage.

Fot. Archiwum Michaela Bachs, zdjęcia wykonane – Andrzej Dobkiewicz

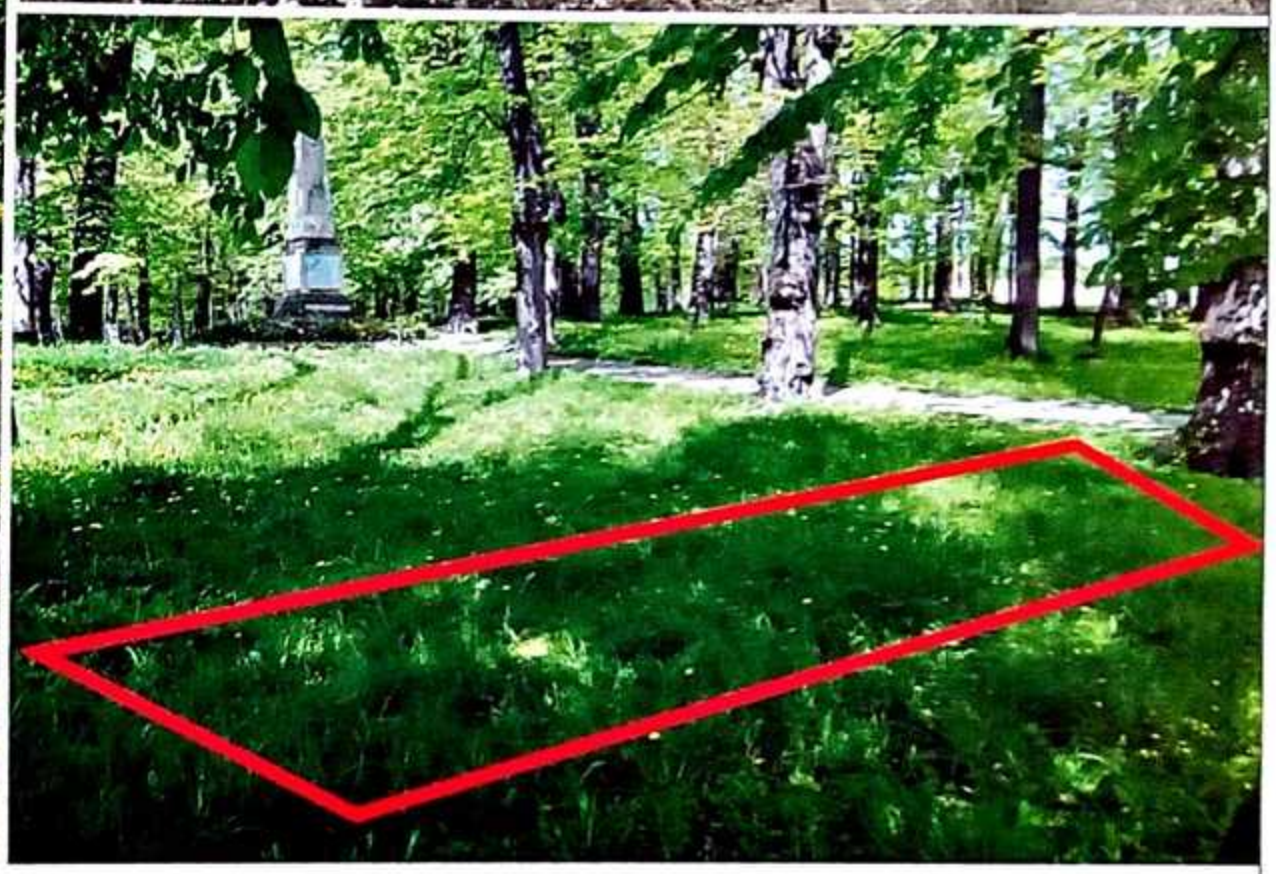

krzyży na mogiłach sąsiadujących z grobami jeńców. Przepraszając Duńczyków za pomyłkę, stwierdzili, że są to groby jeńców rosyjskich z czasów I wojny światowej. Mogiły jeńców były w tym czasie nieco zaniedbane, napisy nieczytelne, a marmurowe tablice poluzowane. Niemcy dokonali jednak ponownych napraw, a napisy odnowił mistrz malarski Gräbsch. Ostatnie zachowane pismo pochodzi z 11 listopada 1943 roku. Komendantura garnizonu informuje w nim Duńczyków, że groby jeńców są w „godnym" stanie i że dwa lata wcześniej, w 1941 roku zostały odnowione i obsadzone kwiatami.

Identyfikacja żołnierzy

Na podstawie odnalezionych w duńskich archiwach dokumentach można zidentyfikować siedmiu duńskich żołnierzy pochowanych w Świdnicy. Notabene zachowały się w archiwum dokładne spisy wszystkich żołnierzy uwięzionych w Świdnicy! Ci pochowani na cmentarzu garnizonowym zostali wzięci do niewoli w bitwie pod Dybbøl 18 kwietnia 1864 roku, chociaż do Świdnicy byli przywożeni w okresie od 23 kwietnia do 11 lipca 1864 roku. Byli to:

1. OLE ANDERSEN – starszy kapral 6. kompanii 2. Pułku Piechoty. Urodził się 14.06.1837 roku w Tinghusene (parafia Myrrum, hrabstwo Frederiksborg). Syn Insiders Andersa Olsena i Else Marie Jensdatter. W 1858 roku ożenił się z Anne Kirstine Nielsdatter, z którą miał dwoje dzieci. Został ranny w bitwie pod Dybbøl 18 kwietnia 1864 roku. Do Świdnicy przybył 1 maja tego roku. Wskutek odniesionych ran zmarł 6 maja i pochowany został 9 maja na cmentarzu garnizonowym.

Zdjęcie współczesne fragmentu dawnego cmentarza z zaznaczoną kwaterą i miejscem pochówku żołnierzy duńskich.

2. HANS JENSEN – szeregowy 6. kompanii 16. Pułku Piechoty. Urodził się 6.03.1830 roku w Stige (parafia Lumby, hrabstwo Odense). Syn Jensa Jensena i Anne Pedersdatter. Do Świdnicy przybył 25 kwietnia. Zmarł na tyfus >>>

>>> 19 maja, pochowany 23 maja 1864 roku.

3. ANDREAS CHRISTENSEN – szeregowiec 6. kompanii 2. Pułku Piechoty. Urodził się 24.03.1840 roku w Skovhuse (parafia Esbønderup, hrabstwo Frederiksborg). Syn Christena Olsena i Gertrudy Nielsdatter. Do Świdnicy przybył z transportem 14 maja. Zmarł na tyfus 21 maja. Pochowany został 23 maja 1864 roku.

4. ANDERS CHRISTENSEN – szeregowiec 2. kompanii 22. Pułku Piechoty. Urodził się przybył 17 maja. Zmarł na tyfus 22 maja, a 25 maja 1864 roku został pochowany obok swoich towarzyszy broni.

6. NIELS JENSEN – szeregowy 4. kompanii artylerii fortecznej. Urodził się 31.05.1843 roku w Puttem (parafia Astrup, hrabstwo Hjørring). Syn Jensa Pedersena i Maren Pedersdatter. Do Świdnicy przybył 23 maja. Zmarł na tyfus 31 maja, pochowany został na cmentarzu garnizonowym 2 czerwca 1864 roku.

7. CHRISTEN CHRISTIANSEN – szeregowy 6. kompanii

Pismo z 28 grudnia 1886 roku z komendantury twierdzy świdnickiej do Duńczyków z wyliczeniem kosztów wykonania nagrobków.

Projekt tablic nagrobnych, jakie zostały zaprojektowane na groby jeńców duńskich.

jakości zdjęcie jednego z nagrobków, należącego Andreasa Christensena, wykonane w 1933 roku. Dzięki tej fotografii oraz zachowanemu projektowi nagrobków wiadomo, jak one wyglądały.

Zdjęcie to nie ułatwiło identyfikacji miejsca pochowania kwatery duńskich żołnierzy. Rozwiązanie tej kwestii przyniosła dopiero inna fotografia wykonana prawdopodobnie w 1933 roku. Została ona zamieszczona w książce Hectora Boecka „Danske Mindesmærker og Krigergrave i Sønderjylland", wy-

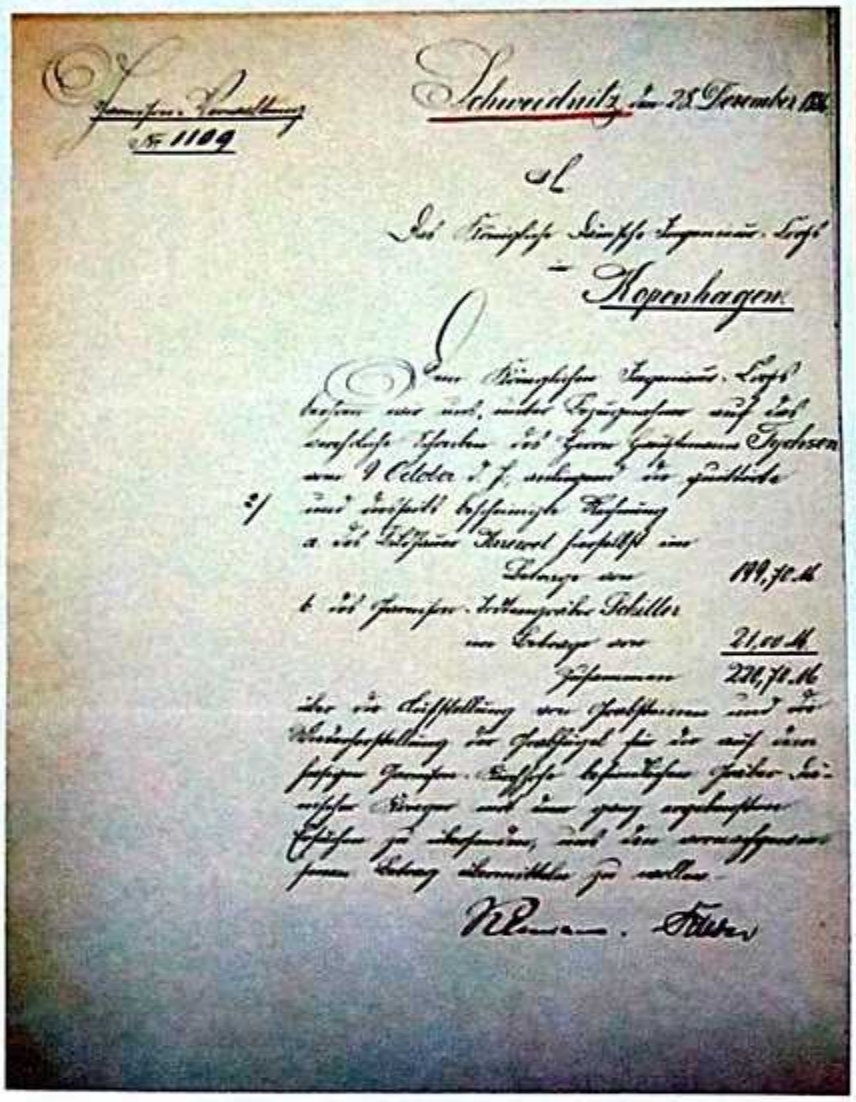

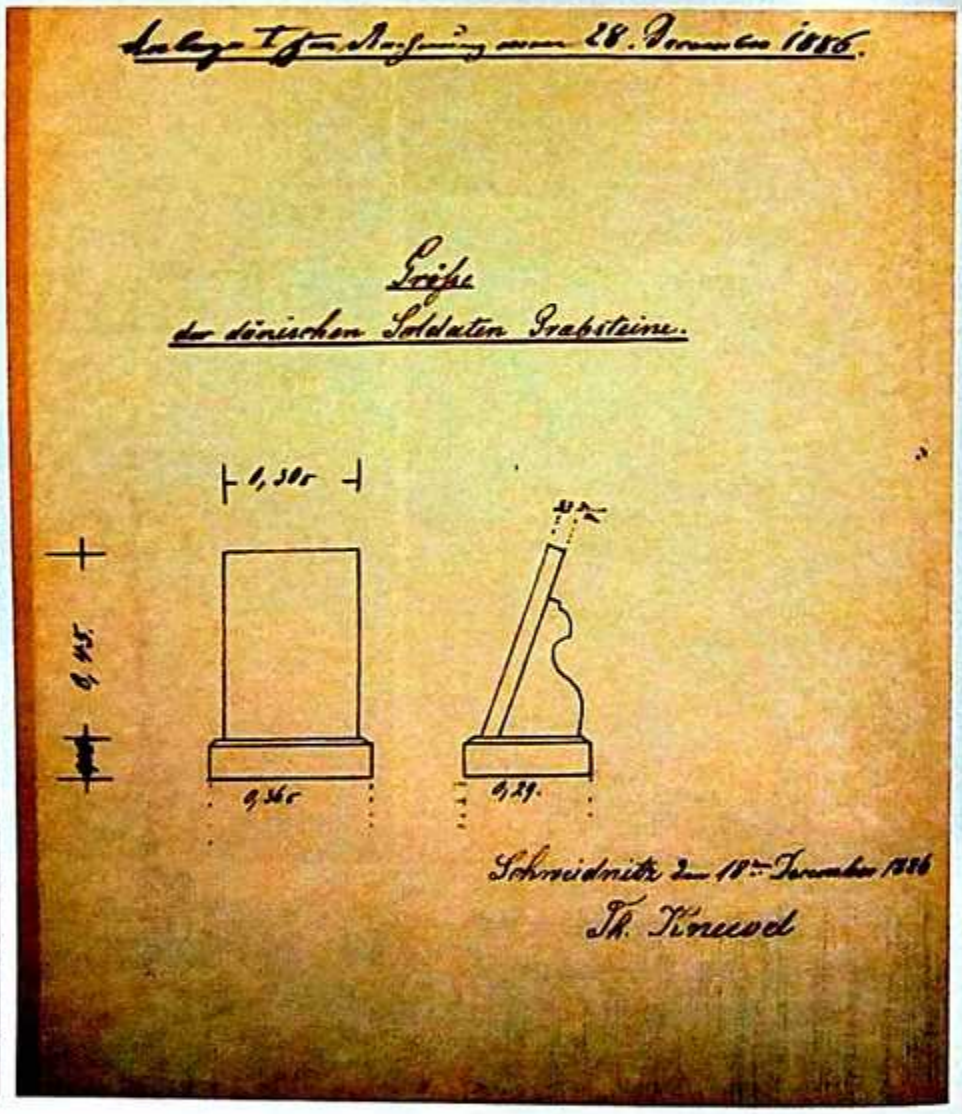

17.03.1832 roku w Hedeås (parafia Åsted, hrabstwo Hjørring). Syn Christena Andersena i Elsy Svendsdatter. Data przybycia do Świdnicy nieznana. Zmarł na tyfus 25 sierpnia, pochowany 28 sierpnia 1864 roku.

5. Peter Carstensen – szeregowiec 3. kompanii 18. Pułku Piechoty. Urodzony ok. 1832 roku w Hüllerup (parafia Handewitt, hrabstwo Flensburg). Syn Petera Carstensene i Anne Marie Nissen. Do Świdnicy przybył 11 lipca. Zmarł na tyfus 22 lipca, pochowany został 24 lipca 1864 roku.

22. Pułku Piechoty. Urodził się w Blans (parafia Ullerup, hrabstwo Sønderborg). Brak dokładnej daty i imion rodziców. Do Świdnicy przybył 11 lipca. Zmarł na tyfus 22 lipca, pochowany został 24 lipca 1864 roku.

Sensacyjne zdjęcie

Oprócz skanów wspomnianych wcześniej dokumentów, w archiwach udało się także odnaleźć kiepskiej jakości zdjęcie jednego z nagrobków, należącego Andreasa Christensena, wykonane w 1933 roku. Dzięki tej fotografii oraz zachowanemu projektowi nagrobków wiadomo, jak one wyglądały.

danej w Kopenhadze w 1940 roku. Na zdjęciu widać dokładnie miejsce pochówku siedmiu żołnierzy. Miejsce, które wobec szczęśliwie zachowanego, a widocznego na tym zdjęciu pomnika oraz rosnących do dziś, a widocznych także na zdjęciu drzew, bez problemu udało się zidentyfikować! Porównanie starej fotografii i współczesnego zdjęcia tego miejsca pozwala precyzyjnie określić kwatery siedmiu pochówków duńskich żołnierzy, których

fot. Archiwum Michaela Bacha

nagrobki zniszczono za przyzwoleniem komunistycznych władz Świdnicy po 1945 roku.

Ponieważ groby tworzyły usypane kopce ziemi, łatwo je było splantować. Trudno natomiast stwierdzić, co stało się z niewielkimi marmurowymi tablicami ze złotymi napisami. Być może zostały wywiezione na wysypisko, ale równie dobrze mogą znajdować się gdzieś w pobliżu grobów, w jakimś zagłębieniu terenu, przysypane ziemią i czekające na przypadkowe odkrycie tak, jak to miało miejsce w wypadku wspomnianych już nagrobków, odkrytych w 1994 roku.

Co dalej?

Zidentyfikowanie dokładnego miejsca pochówku duńskich jeńców na terenie dawnego cmentarza garnizonowego, to pierwszy udokumentowany tak wyraźnie w źródłach i w terenie przypadek na tej nekropolii. Pozostaje pytanie, co z tą wiedzą można teraz zrobić, a raczej co jest możliwe do zrobienia. Przede wszystkim należy uznać raczej z całą pewnością, że szczątki duńskich żołnierzy nadal spoczywają w miejscu ich pochówku. Wniosek taki należy wysnuć z prostego założenia. Duńczycy raczej nie ekshumowali tych szczątków, skoro jeszcze w 1943 roku prowadzili korespondencję ze świdnicką komendanturą w sprawie opieki nad grobami. Ekshumacji nie przeprowadzili także Polacy po 1945 roku, w każdym razie nie ma żadnych informacji na ten temat. Zresztą biorąc pod uwagę, w jaki sposób „odniemczano" Świdnicę, niszcząc nawet cmentarz wojskowy, z pewnością nikt nie zawracał sobie głowy jakimiś ekshumacjami „niemieckich" – w mniemaniu władz, szczątków.

Raczej nie zanosi się na to, aby na terenie dawnego cmentarza garnizonowego w Świdnicy przeprowadzić w najbliższym czasie jakieś kompleksowe badania terenowe i spróbować chociażby odnaleźć – być może ukryte jeszcze pod ziemią – nagrobki. Wymagałoby to zapewne niemałych nakładów finansowych. Z drugiej strony wydaje się celowe odtworzenie kwater żołnierskich lub oznaczenie miejsca pochówku duńskich żołnierzy i przywrócenie ich pamięci potomnych. Takie stanowisko reprezentują m.in. autorzy tego artykułu, którzy współpracując z Fundacją „Idea" ze Świdnicy, powołaną do utrwalania dziedzictwa kulturowego i historii miasta, chcą zainteresować tym tematem duńskie media i organizacje społeczne oraz ambasadę Danii w Polsce. Być może nagłośnienie tematu sprawi, że uda się przywrócić szczątkom duńskich żołnierzy godny pochówek.<

Duńskie zestawienie inskrypcji, jakie miały zostać wyryte na tablicach nagrobnych.

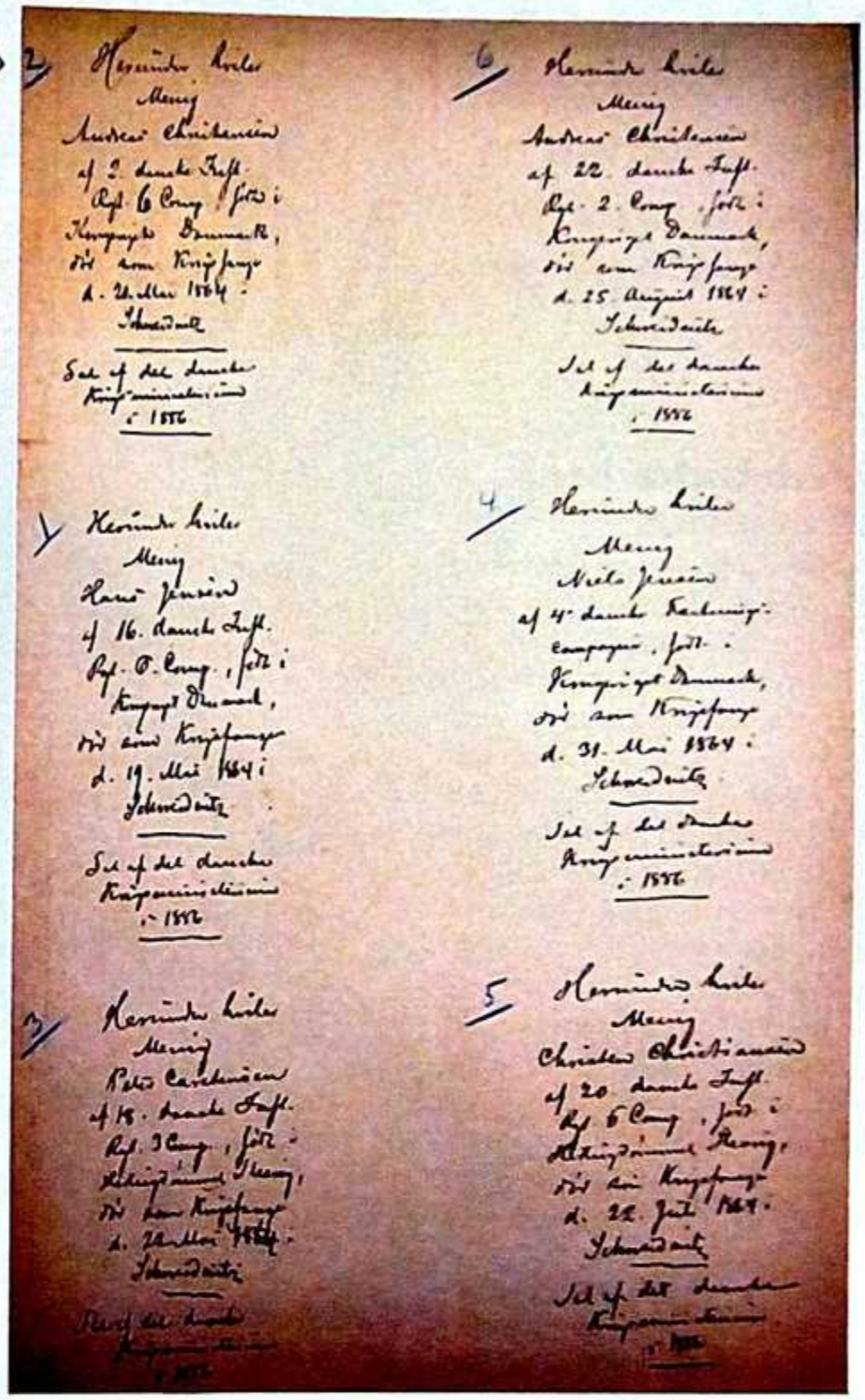

Andrzej Dobkiewicz

Dziennikarz i publicysta, autor artykułów i opracowań dotyczących historii ziemi świdnickiej, autor i wydawca książek historycznych. Współpracuje z Fundacją „Idea".

Sobiesław Nowotny

Historyk i tłumacz, autor wielu artykułów, opracowań i książek z zakresu historii Dolnego Śląska. Współpracuje z Fundacją „Idea".

Znaleziska spod Żyrzyna bez wątpienia są dowodem na używanie przez powstańców broni austriackiej.

CO NAM MÓWIĄ KULE,

CZYLI O POŻYTKACH Z ARCHEOLOGII MILITARNEJ CZĘŚĆ 3

MICHAŁ MACKIEWICZ

Austriacka broń strzelecka

Do 1854 roku system uzbrojenia strzeleckiego obowiązujący w armii austriackiej zbliżony był do rosyjskiego czy francuskiego. Piechota liniowa wyposażona była w karabiny gładkolufowe, a broń gwintowaną posiadali żołnierze z batalionów strzelców (Feld-Jäger Bataillon); były to karabinki/sztucery (Jägerstutzen) oraz skrócone karabiny z komorami systemu Delvigne (Kammerbüchse). Broń długa i krótka wyposażona była w zamki systemu Augustina, do których używano zamiast kapiszonów miedzianych zapłonników w postaci rureczki napełnionej chloranem potasu. Zapłonnik wsuwano w otwór zapałowy z boku lufy, a część wystawała na panewce, którą następnie zakrywano pokrywką z ruchomym i ostro zakończonym z jednej strony bolcem. Uderzenie kurka w bolec powodowało zgniecenie zapłonnika i detonację.

W 1854 roku przyjęto do uzbrojenia w całej piechocie broń gwintowaną systemu Lorenza, wyposażoną w klasyczny zamek kapiszonowy i dostosowaną do pocisków o zmniejszonym kalibrze 13,9 mm. Obok angielskich Enfieldów austriackie Lorenze uznawane są za szczytowe osiągnięcie w rozwoju odprzodowej broni palnej, zwłaszcza z uwagi na doskonałe parametry kompresyjnych pocisków Willkinson-Lorenz. Setki tysięcy tych karabinów wyekspediowano do ogarniętej wojną Ameryki – po angielskich Enfieldach, Lorenze były najliczniej reprezentowaną zagraniczną bronią w tym konflikcie.

Broń austriacka w relacjach

Austriacka broń jest stosunkowo często wymieniana w relacjach i wspomnieniach. Choćby u Franciszka von Erlacha, szwajcarskiego oficera przebywającego w Polsce przy różnych powstańczych oddziałach i zbierającego dla sztabu swej armii informacje dotyczące organizacji i taktyki partyzanckiej. Wojskowe doświadczenie stanowi najlepszą rękojmię dla fragmentów poświęconych uzbrojeniu; w odniesieniu do partii Ruckiego Erlach pisał: „Karabiny gwintowane były rozmaitego typu i bardzo rozmaitego kalibru. Przy lepszych dostawach broni (30 do 80 sztuk) były to **karabiny rzekomo** [podkreślenie – aut.] zrobione w Belgii, na zewnątrz niezupełnie wykończone, bez cechy fabrycznej albo innych znaków, których gwinty, zamek i bagnet sieczny nadawały się wybornie do użycia w polu. Krótka lufa usprawiedliwia najlepiej nazwę „sztuciec". Liczebnie szły po nich austriackie karabiny najnowszej konstrukcji i słyszałem, że później Rząd Narodowy zaprowadził urzędownie model austriacki. Spotykało się także często karabiny rosyjskie. Z broni o gładkich lufach widziałem najczęściej stare karabiny austriackie". Owe stare austriackie karabiny to być może broń sytemu Augustina, której nie zdążono zmodernizować. Warto w tym miejscu wspomnieć, że modyfikacje austriackiej broni przeprowadzano także w Liège. Do Polski napływała bez wątpienia rozmaita austriacka broń przy czym najlepszą renomę, jak się wydaje, zdobyły sobie sztucery jegierskie, solidne, a przy tym bardzo poręczne, o długości zaledwie 110 cm

Kule do austriackich karabinów/sztucerów spod Żyrzyna (2012 rok).

„Bitwa" z cyklu Polonia A. Grottgera; rysunek – reprodukcja. Na pierwszym planie żołnierz z karabinem przypominającym austriacki sztucer jegrów.

Kompresyjny pocisk do broni systemu Lorenza tuż po wydobyciu z ziemi; Żyrzyn, kwiecień 2017 rok.

fot. Muzeum Wojska Polskiego, M. Mackiewicz

(klasyczny karabin piechoty mierzył ok. 140 cm). Wspominany już Brykczyński pisał: „Nasze belgijczyki [podkreślenie – aut.], w które dotąd tylko owi Galicyanie byli zaopatrzeni, były krótkie, sześciokątne więcej niż do połowy lufy, małego kalibru, o grubych ścianach luf. Kulka była długa, a ilość prochu w ładunku proporcyonalnie do wagi kuli znacznie większa, niż w rosyjskich karabinach. Kulka była pełna, a mimo to choć w lufę wraz z ładunkiem wchodziła lekko, na wystrzelonej kuli wyraźnie było znać głębokie rowki od gwintów. (...) Na końcu lufy umieszczony bagnet szeroki, płaski, długi, do tasaka podobny. (...) Wizier był półokrągły, dość nizki. Karabiny te biły bardzo daleko i celnie, ale na dalsze zwłaszcza odległości trzeba było bagnety zdejmować, gdyż ciężyły i zwracały lufy na bok. Huk strzału suchy, twardy, ucięty, a ton wysoki". Jest to kapitalny i stosunkowo precyzyjny opis austriackiego sztucera jegrów, najprawdopodobniej Lorenza wz.1854 lub 1862 kal. 13,9 mm. Miały one ośmiograniną lufę, podtoczoną tylko przy samym końcu na okrągło dla założenia siecznego bagnetu >>>

>>> tulejowego; celowniki były półokrągłe, krzywiznowe, z wysuwanym ramieniem blokowanym motylkową śrubą. Występowały one w kilku nieznacznie różniących się wariantach. Np. sztucery wz.1854 produkowano w dwóch wersjach – z tzw. długim celownikiem, wyskalowanym do 1200 kroków (używany przez podoficerów i strzelców wyborowych) i krótkim, z maksymalną nastawą do 1000 kroków. Ten pierwszy zwał się Dornstutzen, z uwagi na trzpień w komorze (francuski system Thouvenin'a). Do lat 60. stemple do przybijania ładunku przenoszone były osobno, potem chowano je w wydrążeniu pod łożem.

Obecność tej doskonałej broni w rękach powstańców potwierdzają nie tylko pamiętniki uczestników walk, ale także fotografie, które stanowią kapitalny materiał badawczy. Bardzo często widać na nich insurgentów w pełnym rynsztunku bojowym. Niektórzy co prawda podchodzą do tego źródła z dużą ostrożnością, sugerując, że broń tam przedstawiona może pochodzić z wyposażenia atelier, ale obawy takie należy bezwzględnie odrzucić. Po pierwsze zdjęcia robione były przede wszystkim w Galicji (Kraków, Lwów), gdzie austriackie władze dosyć przychylnie, lub co najmniej neutralnie, odnosiły się do akcji werbunkowej i organizowanych tutaj zakupów broni. Mierosławski pisał: „Swoboda, jakiej te rozbitki [powstańcy z rozbitych w pobliżu granicy oddziałów – przyp. aut.] używały w Krakowie, włócząc się w jasny dzień z bronią w ręku po całym mieście, zdumiewała obcych i rzucała na rząd austriacki pozory wyraźnego sprzyjania naszemu powstaniu". Poza tym na zdjęciach jest sporo różnorodnego i nowoczesnego na owe czasy uzbrojenia. Wyraźnie rzuca się w oczy pokaźna liczba sztucerów Jägerstutzen systemu Lorenza, bądź starszych (wz.1842 i 1849), przerobionych z systemu Augustina na kapiszonowy (z uwagi na niewielkie czasami różnice, określenie konkretnego wzoru bywa niekiedy bardzo trudne). Poza sztucerami do powstańców trafiały zapewne karabiny piechoty wz.1854 (dwa warianty różniące się celownikami) i 1862 lub starsze wz.1842 przerobione z systemu Augustina na kapiszonowe, a także skrócone wersje (Extra-Korps-Gewehr), używane przez jednostki techniczne. Do karabinów piechoty stosowano klasyczne tulejowe bagnety kłujące.

Kolejny austriacki pocisk spod Żyrzyna. Wykarczowany pod budowę S17 fragment lasu po zachodniej stronie drogi znacznie ułatwił przeszukanie pobojowiska przy użyciu wykrywaczy metalu.

Pociski odnalezione przez archeologów z Muzeum Wojska Polskiego w listopadzie 2012 roku na pobojowisku pod Żyrzynem. Zwraca uwagę austriacka amunicja kompresyjna Lorenza (w lewym górnym rogu) i pociski Nesslera stosowane do rosyjskiej broni gładkolufowej (w prawym górnym rogu). Na dole z prawej, dwa pociski Minié do rosyjskich 6-liniówek.

Powstaniec uzbrojony w austriacki sztucer wz.1854 i francuski rewolwer Lefauchaux.

Powstańcy z oddziału Langiewicza, ks. Dominik Majer i Józef Majer. Pierwszy z lewej uzbrojony w rewolwer nierozpoznanego systemu, drugi w austriacki sztucer jegrów (wz.1854 lub 1862) i francuski rewolwer trzpieniowy Lefaucheaux (wzór używany m.in. we francuskiej marynarce).

O austriackiej broni wspominają także rosyjskie raporty, jak choćby ten skierowany do Ministra Wojny Dymitra Milutina przez Fiodora Berga i informujący o walkach w Iłży; Namiestnik Królestwa Polskiego donosił m.in. iż „wsia banda była woorużiena awstrijskimi 5-liniejnymi wintowkami".

Kule spod Żyrzyna

Potwierdzeniem tezy o nadreprezentacji broni austriackiej w powstańczym arsenale mogłyby być zabytki zgromadzone w muzeach, tyle tylko, że uzbrojenie z interesującego nas okresu rzadko kiedy posiada niebudzący wątpliwości kontekst. Co innego artefakty odnajdywane na pobojowiskach, zwłaszcza amunicja, która z jednej strony ukazuje mozaikę partyzanckiego uzbrojenia, z drugiej zaś strony stanowić może klucz do rozwiązania zagadki „belgijskich" sztucerów. Tutaj znów warto przytoczyć cytat z Erlacha: „U Ruckiego amunicję wożono na dwukołowym podwoziu, w skrzynce z przykrywką dachowatą, z dodatkowymi skrzyneczkami z tyłu i z przodu (...) Znajdowały się tam skrzynki z ładunkami gotowymi wszelkich możliwych kalibrów, proch w workach, ładunki bez kul, papier, szpagat, ważka, poszczególne narzędzia, wszystko pomieszane bezładnie, »prawdziwie po polsku«. W czasie spokojnego postoju oddziału Ruckiego w obozie wypoczywał także naczelnik tego arsenału i jego rezerwy; wydawano tylko ludziom nieco amunicji. Okazało się przy tym, że karabinierom wydał on niewłaściwe pudełka nabojów, i że reszta strzelców grzebała sobie dowolnie w rozsypanych nabojach, wkładając je do wylotu luf, aby sprawdzić ich kaliber (...) [u Krysińskiego – red.] ludzie byli lepiej zaopatrzeni w amunicję, chociaż i tutaj musieli oni dobierać sobie pojedynczo ładunki do broni i swoich kalibrów, co już wynikało z ogólnego stanu uzbrojenia w powstaniu". Ówczesne pociski, z uwagi na bardzo różnorodne kształty, są jakby

fot. Muzeum Wojska Polskiego, M. Mackiewicz

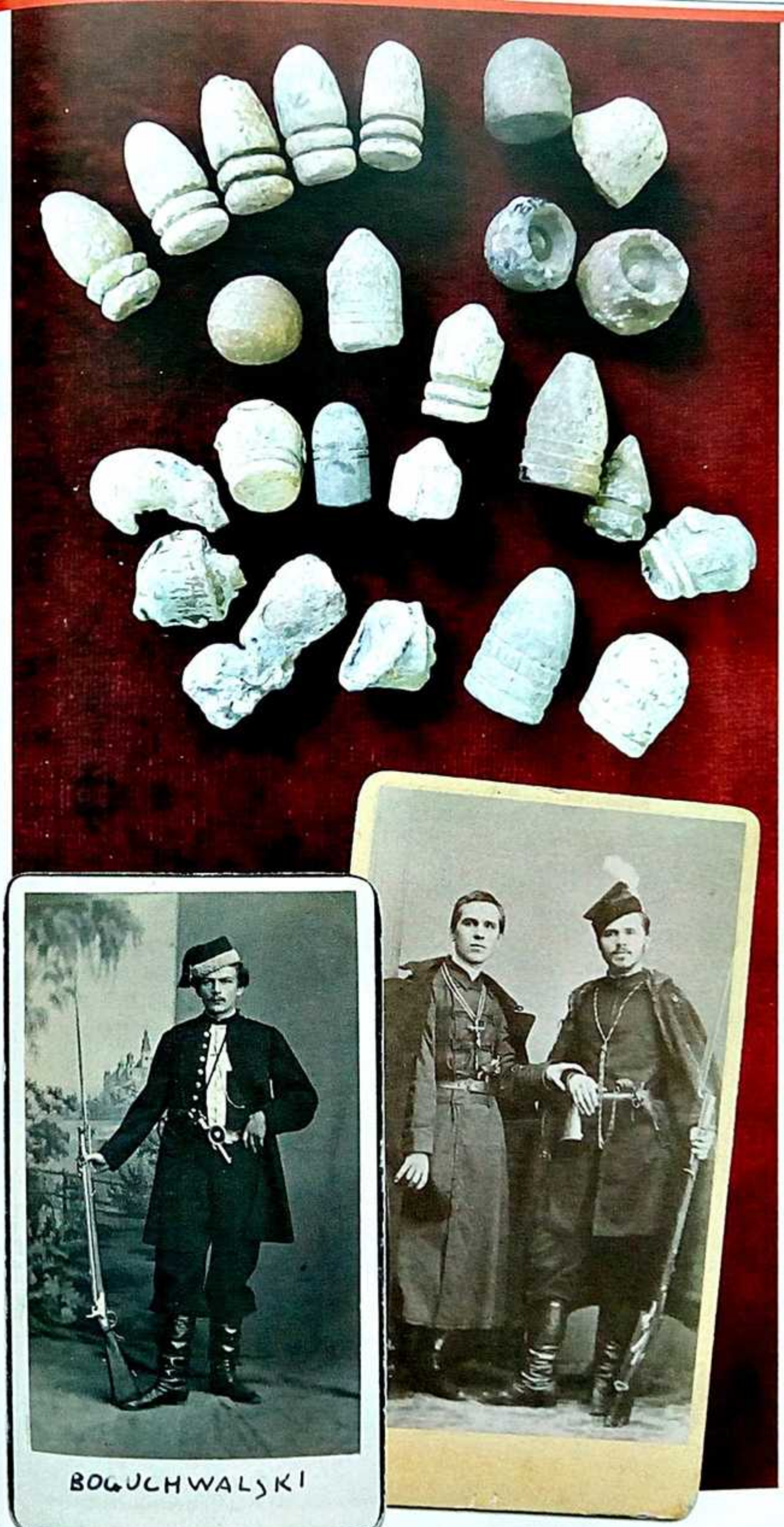

znakami firmowymi broni z jakiej zostały wystrzelone.

W 2012 roku na pobojowisku pod Żyrzynem, gdzie 8 sierpnia 1863 roku oddziały dowodzone przez Michała Kruka-Heydenreicha unicestwiły podążający z Dęblina rosyjski konwój z pocztą i pieniędzmi (na placu boju padło blisko 200 Rosjan), archeolodzy z MWP w Warszawie przeprowadzili sondażowe badania, w wyniku których odnaleziono kilkadziesiąt ołowianych pocisków. Oczywiście ten skromny zespół trudno uznać za reprezentatywny nawet dla samej bitwy żyrzyńskiej, albowiem trwała ona dobrych kilka godzin i wystrzelono wówczas zapewne dziesiątki tysięcy pocisków – po stronie polskiej walczyło 1400 strzelców – ale mimo to wydaje się być bardzo ciekawy. Spośród amunicji dającej się zidentyfikować (część pocisków uległa znacznej deformacji, niewątpliwie wskutek uderzenia w drzewo) najliczniejszą grupę stanowią pociski kompresyjne Wilkinson-Lorenz kalibru ok. 14 mm, wystrzelone zapewne z broni austriackiej. Dwa z pięciu odnalezionych posiadają niewielkie otwory w dnie, co sugeruje, że wystrzelono je ze wspomnianego Dornstutzen. Z bronią belgijską (czy może raczej francuską) identyfikować można zaledwie jeden pocisk kalibru ok. 17–17,5 mm przeznaczony do broni systemu Thouvenin'a. Ciekawe wnioski płyną także z analizy amunicji rosyjskiej. Otóż z pobojowiska pochodzą tylko dwa pociski minié do regulaminowych gwintowanych karabinów 6-liniowych, odnaleziono natomiast aż cztery systemu Nesslera. Jak pamiętamy Rosjanie przyjęli tę amunicję u siebie w dobie wojny krymskiej i stosowali ją do broni gładkolufowej. Choć w latach 60. pułki liniowe wyposażone były w karabiny wz.1856/58, to jednostki tyłowe i forteczne nadal używały starszych wzorów, o czym informował Milutina Berg w raporcie z 10 sierpnia 1863 roku o starciu pod Żyrzynem i niepokojącym stanie garnizonów w twierdzach: „Leur armement consiste en fusil non rayés" [ich uzbrojenie składa się >>>

www.odkrywca.pl

Austriacki gwintowany kapiszonowy sztucer strzelców wz.1854 Lorenz.

>>> z karabinów gładkolufowych – tłum. aut]. Pod Żyrzynem walczyła m.in. kompania forteczna z Dęblina, która wraz z kompanią saperów stanowiła trzon sił rosyjskich i być może to właśnie jej żołnierze wystrzelili owe pociski Nesslera.

W kwietniu 2017 roku pracownicy MWP przeprowadzili pod Żyrzynem kolejny sondaż. Prace stanowiły element archeologicznych badań ratowniczych, podjętych na pobojowisku w związku z budową drogi ekspresowej S17. W ich efekcie zdołano pozyskać blisko 50 zabytków, z których większość stanowiły ołowiane pociski lub ich fragmenty. I znów, tak jak poprzednio, wśród dającej się rozpoznać amunicji zdecydowanie największą część (blisko 20) stanowiły pociski kompresyjne do broni austriackiej.

Odnaleziono także rosyjskie pociski systemu minié oraz Nesslera, a także kilka kapiszonów (cały materiał jest w trakcie analizy).

Znaleziska spod Żyrzyna doskonale korespondują ze źródłami pisanymi i ikonograficznymi i bez wątpienia potwierdzają fakt używania przez powstańców broni austriackiej. Oczywiście tak niewielki i dotyczący zaledwie jednego starcia zbiór amunicji w żadnej mierze nie pozwala na wyciąganie radykalnych wniosków, ale wraz z pozostałymi źródłami może stanowić argument na rzecz tezy o przewadze austriackiego uzbrojenia wśród broni sprowadzonej do Polski z zagranicy. Aby tezę tę poprzeć, należałoby przeprowadzić zakrojone na szerszą skalę badania pobojowisk z lat 1863–1864.

Przewaga broni austriackiej i rosyjskiej, oczywiście tylko w odniesieniu do uzbrojenia wojskowego, regulaminowego, nie oznacza rzecz jasna, że nie korzystano także z innej, niemieckiej (tzn. z krajów niemieckich), szwajcarskiej, francuskiej czy belgijskiej. W tym ostatnim

Austriacka broń strzelecka; od góry: Kammerbüchse wz.1849 kal. 18,1 mm z zamkiem systemu Augustina, broń, używana w oddziałach strzelców, pierwotnie zaprojektowania była do zwykłej kuli (rant komory o mniejszej średnicy umożliwiał jej dobicie i wpasowanie w gwint), potem stosowano pociski kompresyjne; karabin piechoty wz.1842 przerobiony w latach 50. z systemu Augustina na system Lorenza; karabin piechoty Lorenz wz.1854 kal. 13,9 mm – drugi wariant (z celownikiem wyskalowanym do 900 kroków).

Powstańcy Majewski i Antoniewski z oddziału Kurowskiego. Pierwszy uzbrojony w austriacki sztucer jegrów systemu Lorenza wz.1854 lub 1862, zwraca uwagę stempel pod łożem (do lat 60. stempel przenoszono osobno) oraz wojskowy pistolet kapiszonowy, u drugiego widoczny rewolwer systemu Beaumont-Adams.

Powstaniec Kazimierz Morgulec z austriackim karabinem piechoty Lorenz wz.1854.

fot. Muzeum Wojska Polskiego

zresztą przypadku należy brać pod uwagę broń wzoru francuskiego produkowaną przez manufaktury w Liège. Poza tym należy pamiętać o regionalnej specyfice; województwa południowe (Małopolska, Lubelszczyzna, Sandomierszczyzna) łatwiej było zasilić uzbrojeniem dostarczanym z Austrii, aniżeli tereny na północy, gdzie nowoczesne Lorenze mogły stanowić w powstańczym arsenale jedynie znikomy procent. A jednak w skali całego kraju broń austriacka musiała być licznie reprezentowana i wzmianki o doskonałych „belgijskich" sztucerach niejednokrotnie dotyczyły właśnie wzorów systemu Lorenza. <

Michał Mackiewicz
Pracownik Działu Historii Wojskowości MWP w Warszawie, archeolog. Zajmuje się historią broni strzeleckiej i archeologią militarną. Autor szeregu artykułów i książek z zakresu dziejów wojskowości i bronioznawstwa.

WZOREM KMICICA...

PIOTR GALIK

Polski Korpus Posiłkowy wobec zdrady sojuszników w lutym 1918 roku.

Latem 1917 roku Legiony Polskie zakończyły swoją wojenną epopeję. Odmowa złożenia narzuconej przez Niemców ponownej przysięgi wojskowej oznaczała bowiem rozbrojenie i internowanie Polaków pochodzących z ziem zaboru rosyjskiego. Żołnierze nieobjęci obowiązkiem ponownego zaprzysiężenia, czyli polscy poddani Austro-Węgier, w geście solidarności masowo składali oficjalne prośby o zwolnienie ze służby w Legionach i przeniesienie do armii habsburskiej. Protest ten, nazywany kryzysem przysięgowym, objął większość żołnierzy I i III brygady, lecz jedynie część stanu osobowego „żelaznej" II Brygady. W kręgach zahartowanych w bojach weteranów kampanii karpackiej i wołyńskiej przeważyła bowiem realistyczna, daleka od politycznych kalkulacji, idea trwania pod bronią, czyli utrzymania autonomicznych polskich formacji zbrojnych, by naród nie pozostał bez własnego wojska. Pułkownik Józef Haller, dowódca popularny i szanowany przez swoich podwładnych z II Brygady, zdołał przekonać większość z nich do przełknięcia gorzkiej, niemieckiej pigułki jako ceny za prawo do zachowania ciągłości istnienia polskiej siły zbrojnej. Mimo potępienia ze strony wielu kręgów politycznych i znacznej części opinii publicznej, a zwłaszcza szczególnie przykrych oskarżeń o zdradę ze strony towarzyszy broni, przeciwnych ustępstwom

wobec Niemców, większość karpatczyków nie ustąpiła z wskazanej przez ich komendanta drogi. W czasie gdy bratnie pułki legionowe ulegały rozwiązaniu, a ich żołnierze trafiali do obozów jenieckich lub wyruszali „w cesarskich kamaszach" na front włoski, oddziały dawnej II Brygady stały się rdzeniem Polskiego Korpusu Posiłkowego, czyli samodzielnej, sojuszniczej jednostki u boku habsburskich sił zbrojnych. Nazwa tej formacji ukuta była zdecydowanie „na wyrost", jako że nominalny „korpus" nie przekraczał rozmiarów wzmocnionej brygady piechoty. W jego skład weszły: 2. i 3. pułki piechoty byłych Legionów Polskich, 2. pułk ułanów oraz pułk artylerii wraz z oddziałami pomocniczymi i sztabem, ogółem 7 566 żołnierzy wszystkich stopni. Dowództwo PKP powierzone zostało generałowi Zygmuntowi Zielińskiemu, synowi powstańca styczniowego, zawodowemu oficerowi armii habsburskiej, od 1914 roku związanemu z Legionami Polskimi. Z końcem października 1917 roku Polski Korpus Posiłkowy zakończył reorganizację i wyruszył na front wschodni, mający w obliczu rewolucji ogarniającej Rosję marginalne znaczenie strategiczne. Polacy skierowani zostali na Bukowinę, w okolice Czerniowiec nad Prutem. Bukowiński sektor frontu był dobrze znany wielu weteranom, gdyż II Brygada Legionów Polskich walczyła w tym rejonie wiosną 1915 roku. Na przełomie lat 1917 i 1918 oblicze wojny w tym odległym zakątku teatru działań wyglądało już całkiem inaczej. Wykrwawione wielkimi ofensywami letnimi 1916 i 1917 roku, zdemoralizowane wieściami o rewolucyjnych niepokojach w głębi kraju, oddziały rosyjskie uległy nastrojom buntu i zaczęły dosłownie rozchodzić się – żołnierze masowo opuszczali jednostki i wyruszali w swoje rodzinne strony, zwykle zabierając broń i amunicję. Najliczniejsza armia Ententy przestała się liczyć jako strona wojująca, a nowe władze Rosji dążyły do zawarcia separatystycznego pokoju z Państwami Centralnymi. Dlatego też służba frontowa Polskiego Korpusu Posiłkowego polegała w zasadzie na biernym obsadzaniu sektora powierzonego przez dowództwo 7. Armii austro-węgierskiej. Weterani legionowych walk w roku 1915 ze zdumieniem obserwowali tę zmianę, dalecy byli jednak od niezadowolenia z jej powodu. Zaskakiwały ich także inne, trudniejsze realia codziennego życia w strefie przyfrontowej. Jan Dunin–Brzeziński, oficer 2 Pułku Ułanów, zapisał w swoich wspomnieniach: „Około 15 listopada przeniesiono nas na Bukowinę, do Oszechlibów, majątku pana Bogdanowicza, odległego o jakieś 20 kilometrów od Czerniowiec. Warunki były tam tak dla ludzi, jak i dla koni bardzo ciężkie, gdyż siana zupełnie ani słomy konie nie widywały, jedynie jeden kilogram owsa dziennie. Toteż zdychały w niemożliwy sposób z głodu [...]. Kiedy w roku 1915 za koszulę płaciłem 20 do 30 koron, obecnie żądano 300 do 400 koron, zaś za kilimy, za które wówczas płaciłem ze 100 koron, żądano 1000". Głównym zajęciem żołnierzy PKP stały się liczne kursy, szkolenia i ćwiczenia, prowadzone z myślą o jak najlepszym przygotowaniu fachowym kadr przyszłej armii odrodzonej Polski. Wszystkie te zajęcia przerwała w lutym 1918 roku szokująca wiadomość o warunkach nowo podpisanego traktatu pokojowego, który miał zakończyć Wielką Wojnę na Wschodzie. >>>

Odznaka pamiątkowa dla żołnierzy PKP internowanych na Węgrzech.

Legiony Polskie w czasie Wielkiej Wojny. Jolanta A. Daszyńska (red.)

Historycy przypomnieli losy I, II i III Brygady. Poruszyli tematykę zdrowotną, wspomnieli również o działalności instytucji i oddziałów Legionów Polskich w regionie łódzkim. Zaprezentowane zostały również materiały dotyczące wystawy zorganizowanej w Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Odznaka pamiątkowa II Brygady Legionów Polskich.

fot. arch. autora

>>>

Zdrada ze strony sprzymierzeńca

Wycieńczone przedłużającą się wojną Austro-Węgry skłonne były podjąć każdą niemal inicjatywę, zmierzającą do zakończenia walk na froncie wschodnim, absorbującym coraz skromniejsze rezerwy logistyczne i ludzkie, niezbędnie potrzebne na kluczowym dla przetrwania Monarchii Naddunajskiej froncie włoskim. Dlatego Wiedeń skwapliwie przystał na niemiecką propozycję zawarcia porozumienia z powstającym na gruzach Imperium Romanowów państwem ukraińskim. Traktat, podpisany w dniu 9 lutego 1918 roku w Brześciu Litewskim, sankcjonował odstąpienie pospiesznie proklamowanej (25 stycznia 1918 roku) Ukraińskiej Republice Ludowej ziem etnicznie, kulturowo i historycznie od wieków związanych z Polską: Chełmszczyzny i części Podlasia. Na domiar złego w utajnionej klauzuli porozumienia Austro-Węgry zadeklarowały wyodrębnienie Galicji Wschodniej wraz ze Lwowem i Przemyślem jako autonomicznego ukraińskiego kraju koronnego Monarchii. Była to cena – z punktu widzenia Berlina i Wiednia korzystna – za milion ton zboża, które Ukraińcy zobowiązywali się dostarczyć wygłodniałym Niemcom i Austro-Węgrom do końca czerwca 1918 roku. Władze powstającego od listopada 1916 roku Królestwa Polskiego nie zostały zaproszone do obrad jako strona traktatu, choć decydować on miał o terenach polskich...

Prasa wiedeńska niemal natychmiast opublikowała tajną część traktatu, wywołując potworny skandal polityczny. Pomijając fakt, że litera układu sprzeczna była z prawem międzynarodowym (IV Konwencja Haska), polska opinia publiczna, a szczególnie ta jej część, która sprzyjała sojuszowi z Austrią i Niemcami, dowiedziała się boleśnie, ile warte jest słowo władców... Traktat Brzeski niemal natychmiast nazwano czwartym rozbiorem Polski, stanowczy protest zgłosiły polskie koła poselskie w parlamencie wiedeńskim i berlińskim, odznaczeni cesarskimi orderami ostentacyjnie zrywali noszone dotąd z dumą insygnia, wielu urzędników i oficerów złożyło dymisję, a ziemiami zaboru austriackiego wstrząsnęły masowe protesty i strajki. Fatalnego wrażenia nie mógł już zmienić fakt, że wstrząśnięty rozmiarami protestów parlament wiedeński odmówił ratyfikacji – a więc i realizacji – traktatu z Ukrainą, a dyplomaci cesarscy zmusili Kijów do zwrotu oryginalnego dokumentu traktatowego, czyli de facto uznania umowy za niebyłą...

Wobec ponurych wiadomości z kraju nie mogli pozostać obojętni także polscy żołnierze, stacjonujący na Bukowinie.

Wzorem Kmicica, czyli nieoczekiwana zmiana stron...

12 lutego na front dotarły specjalne wydania galicyjskich gazet, opatrzone żałobnymi, czarnymi ramkami wokół przytaczanego słowo w słowo tekstu traktatu brzeskiego. Żołnierze z gniewem i goryczą przekonywali się naocznie, że zaborcy mimo wszelkich pozorów pozostają wciąż wrogami Polski, że nie ma sensu dalsze trwanie u boku ich armii, okupione krwawymi stratami lat 1914–1916 i bolesnymi oskarżeniami o zdradę i kolaborację z roku 1917... Dwa dni później oficerowie z najstarszych oddziałów PKP, 2. i 3. pułku piechoty, zebrali się, by podjąć decyzję co do dalszych losów ich jednostek. Postanowiono przejść przez linię frontu, by połączyć się z powstającymi na ziemiach zaboru rosyjskiego wojskami polskimi. Nazajutrz do spiskowców dołączyli delegaci z pozostałych oddziałów. Zabrakło jedynie ułanów, którzy stacjonowali zbyt daleko, by móc nawiązać sekretną łączność z siłami głównymi korpusu. Pośpiesznie zaplanowano manewr, niezbędny do przejścia na wschodnią stronę symbolicznej już tylko linii frontu. Polacy zdawali sobie sprawę, że zapewne będą musieli stoczyć walkę ze sprzymierzonymi do tej

Pułkownik Józef Haller, dowódca II Brygady Legionów Polskich, fotografia z autografem powielana jako pocztówka.

Kapelan II Brygady, ks. Józef Panaś, jeden z inicjatorów akcji pod Rarańczą.

Fot. Tadeusz Nawrocki, ksiądz pułkownik Józef Panaś 1887-1940, „Zeszyty Odrzykońskie" pod red. Stanisława F. Juchy, Odrzykoń 2001, z 8

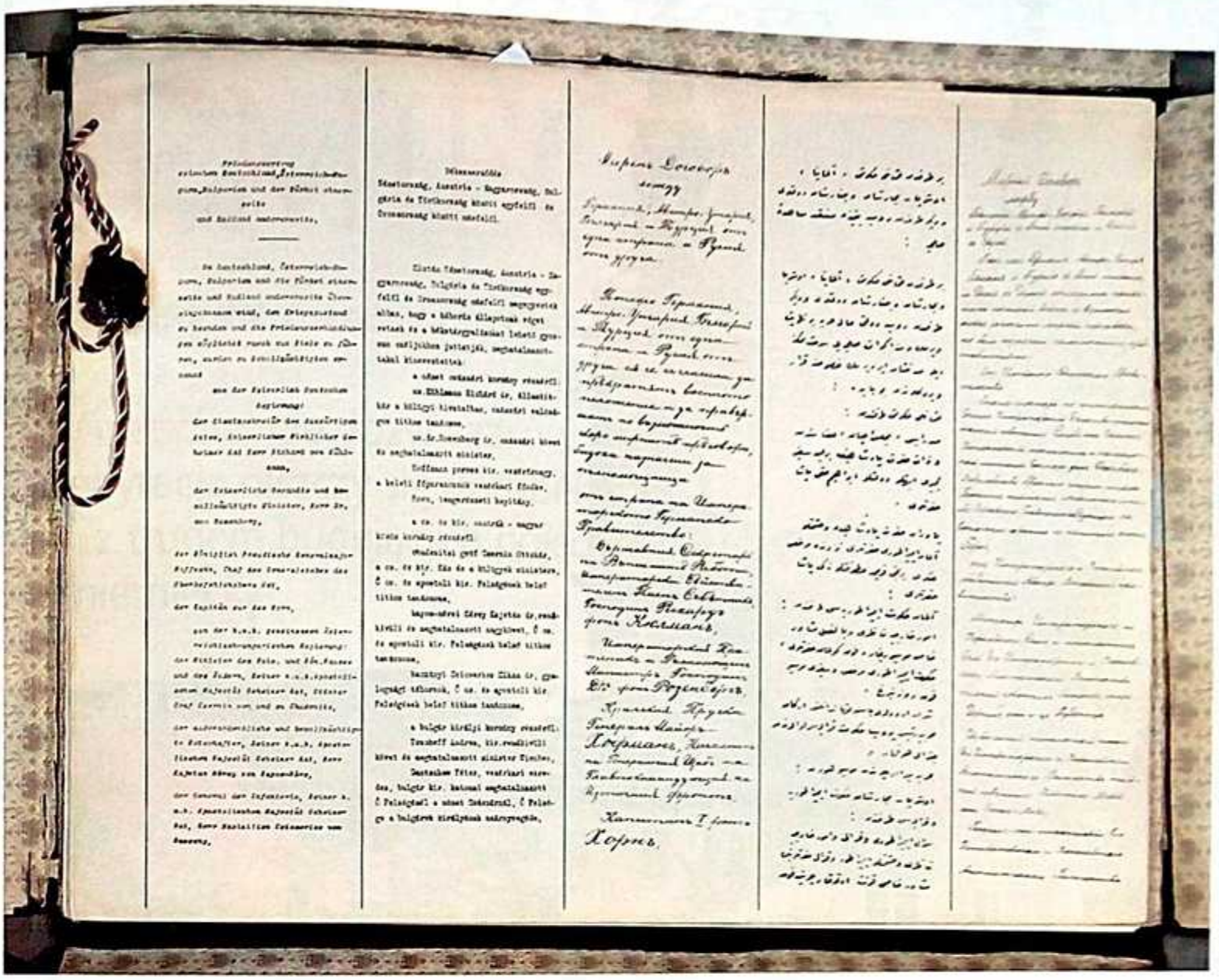

chwili pułkami w cesarsko–królewskiej służbie, lecz nie stanowiło to dla nich problemu moralnego, a jedynie taktyczny. Dowództwo austro-węgierskie na Bukowinie zdawało sobie dobrze sprawę z powagi sytuacji i przygotowywało się do uśmierzenia spodziewanego wystąpienia Polaków. A doszło do niego już 15 lutego, po zmierzchu, około godziny 18. Pod osłoną wczesnej, zimowej nocy grupy żołnierzy z 2. pułku piechoty wyruszyły w kierunku opuszczonych okopów rosyjskich w okolicy miejscowości Rarańcza. Wkrótce doszło do krótkiej, lecz zaciętej walki z zajmującymi ją pododdziałami habsburskimi, które zmuszone zostały do odwrotu, co otworzyło Polakom drogę na wschód. Zasieki z drutu kolczastego, oplatające dawną linię frontu, opóźniły dalszy marsz, gdyż brakowało nożyc saperskich, umożliwiających szybkie przecięcie zapór. W efekcie na rosyjską stronę zdołała przejść część piechurów z 2. i 3. pułku wraz z pułkownikiem Hallerem, razem około 1600 żołnierzy (w tym ok. 100 oficerów). Zaalarmowane przez dowództwo oddziały austro-węgierskie, wspierane przez pociąg pancerny, zdołały zatrzymać i rozbroić pozostałych żołnierzy PKP. Ich los był bardzo niepewny, bo prawo wojenne przewidywało za bunt i zorganizowaną dezercję najsurowsze kary. Dokonał się jednak niezwykle znaczący na arenie politycznej akt spektakularnego zerwania Polaków z Państwami Centralnymi, co okazało się największym triumfem legionistów. Pozostanie bowiem do końca wojny po stronie Wiednia i Berlina niemal gwarantowało porażkę w staraniach o uznanie niepodległości przez zwycięskie mocarstwa Ententy. Tak więc drobna w skali Wielkiej Wojny potyczka, zakończona jedynie częściowym sukcesem, okazała się zwycięstwem o trudnym do przecenienia wpływie na dzieje Polski.

Dalszym losom żołnierzy generała Hallera poświęcony będzie osobny artykuł w kolejnym wydaniu czasopisma.

Traktat brzeski, bezpośredni powód zerwania sojuszu Polaków z Państwami Centralnymi w lutym 1918 roku.

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel miesięcznika „Odkrywca", konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii.

LITERATURA

„Opowieści Legionowe", Warszawa 1930.
JAN DUNIN – BRZEZICKI, „Rotmistrz Legionów Polskich, wspomnienia z lat 1914-1919", Prusków, b.r.w.
JÓZEF HALLER, „Pamiętniki", Londyn 1964.
WACŁAW LIPIŃSKI, „Walka zbrojna o niepodległość Polski", Warszawa 1990.
JÓZEF PANAŚ, „Rarańcza", Lwów 1928.

OSTATNI LEGNICKI NIEMIEC

LESZEK ADAMCZEWSKI

Jürgen Gretschel nie dożył czasów, gdy z premedytacją niszczy się dorobek kilku pokoleń z trudem budujących pojednanie polsko-niemieckie.

Podczas realizacji „Lignicy" Jürgena Gretschela sfilmowano przed legnicką kamienicą, w której w 1941 roku się urodził. Kadr z filmu „Lignica".

Stare centrum Liegnitz na kolorowej widokówce z przełomu lat 30. i 40. XX wieku. W głębi kościół Świętego Jana.

Jürgen Gretschel zmarł nad ranem w niedzielę, 23 października 2016 roku, w wieku 75 lat. Nigdy nie opuścił rodzinnej Legnicy, gdzie wielu mieszkańców znało go przynajmniej z widzenia; Niemiec, który został w polskim mieście, ciesząc się szacunkiem i zaufaniem Polaków. To oni wybrali go na przewodniczącego Rady Pracowniczej PKS w Legnicy, wiceprezesa Rady Okręgowej w Zielonej Górze i członka Krajowej Rady Pracowniczej w Warszawie.

Ostatnie dni Liegnitz

W „Dziennikach" ministra Josepha Goebbelsa pod datą 11 lutego 1945 roku znajdziemy następujący zapis: „Wczoraj: [...] Nadal trwa potworna tragedia ewakuowanych w okręgach wschodnich. Rozgrywa się ona przede wszystkim w Ostpreussen i Danzig-Westpreussen [Prusach Wschodnich i Gdańsku-Prusach Zachodnich – przyp. autora], gdzie ludzie zgromadzeni na niewielkim obszarze nie mogą się już praktycznie poruszać. Teraz, wskutek wdarcia się Sowietów w rejon Liegnitz, dochodzą do tego znaczne obszary Śląska. [...] Od przyczółka pod Liegnitz Sowieci dotarli aż do samego miasta i częściowo się do niego wdarli. W samym mieście toczą się niezwykle zażarte walki".

Do ministra oświecenia publicznego i propagandy Rzeszy nie dotarły jeszcze najświeższe informacje. Gdy Goebbels dyktował powyższe słowa, Liegnitz – stolica jednej z dwóch rejencji prowincji dolnośląskiej – była już w rękach żołnierzy radzieckich, a w poprzednich dniach nie toczyły się o nią „niezwykle zażarte walki", chociaż obie strony próbowały lokalne potyczki na ulicach miasta przedstawiać jako wielką bitwę. Nie było takiej. Świadczą o tym choćby zdjęcia filmowe wykonane przez jednego z operatorów 1. Frontu Ukraińskiego, który krótko po zajęciu miasta na światłoczułej taśmie utrwalił widoki z placów, ulic i uliczek Liegnitz oraz zamku i hali peronowej tutejszego dworca kolejowego. Widoć nań nie tylko ślady po pospiesznej ewakuacji mieszkańców, ale także ślady radzieckiego rabunku i trupy leżące tu i ówdzie na ulicach. Nie widać natomiast zniszczeń; nawet szyby w oknach są na ogół całe.

Kilka tygodni wcześniej, na przełomie lat 1944/1945, mieszkańcy Liegnitz nie zdawali sobie sprawy z grozy sytuacji. Front był gdzieś daleko, po ulicach normalnie kursowały tramwaje, na potrzeby wojska pracowały zakłady przemysłowe, a sklepy oferowały na kartki artykuły pierwszej potrzeby. Nadal wychodziła też lokalna gazeta „Liegnitzer Tageblatt". Wszystko zmieniło się w połowie stycznia 1945 roku. Pierwszą oznaką nadciągającej katastrofy były kolumny uciekinierów ze wschodu Śląska. Wielu z nich w swych wozach koczowało na ulicach Liegnitz, próbując podczas krótkiej przerwy w ucieczce w jakichś ogrzanych pomieszczeniach – a były wówczas siarczyste mrozy – nieco zregenerować siły.

Miejscowy aptekarz Siegfried Beyer, którego za „Szkicami Legnickimi" z 2010 roku cytowali Robert Primke, Maciej Szczerepa i Wojciech Szczerepa w książce „Legnica 1945", ironicznie zauważył, że pod lampami niedawno zainstalowanego w mieście nowoczesnego oświetlenia ulicznego „powoli przesuwał się niekończący się strumień uciekinierów. Konno, samochodami albo wózkami ciągniętymi przez osły".

Pod koniec stycznia z miasta wraz z rodziną wyjechał feldmarszałek Erich von Manstein, >>>

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

>>> który po odwołaniu go przez Adolfa Hitlera z dowódczego stanowiska na froncie wschodnim i pobycie w wojskowym szpitalu w Breslau (Wrocławiu), zamieszkał w swojej willi w Liegnitz, z którym to miastem był związany od czasów międzywojennych. W tym mniej więcej czasie do Görlitz ewakuowały się też władze rejencji legnickiej.

Na początku lutego 1945 roku pełnia władzy cywilnej w Liegnitz spoczywała w rękach kreisleitera NSDAP Wernera Bänscha. Utworzył on pięcioosobowy trybunał ludowy – sąd doraźny, który miał karać defetystów i wszystkich przeciwników ówczesnej władzy – i rozkazał budować umocnienia polowe wokół miasta.

Liegnitz w połowie lutego 1945 roku tuż po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną. Żołnierze radzieccy prowadzą pod bronią dwóch jeńców niemieckich.

Dowództwo wojskowe dopiero 6 lutego objął pułkownik Kurt Treuhaupt, któremu podporządkowano bataliony Volkssturmu i żandarmerii polowej, kompanię sztabową, miejscowych policjantów i strażaków oraz oddział Luftwaffe dotychczas obsługujący lotnisko. Z tymi „siłami" pułkownik miał bronić miasta. W ostatniej chwili wzmocniono je batalionem piechoty.

Kreisleiter Bänsch długo zwlekał z ewakuacją mieszkańców, a gdy ją wreszcie ogłosił, było już za późno na sprawne jej przeprowadzenie. Gdy 8 lutego z Liegnitz Hauptbahnhof odjeżdżał ostatni pociąg ewakuacyjny, kreisleiter w odezwie informował pozostałych w mieście legniczan: „Front zbliża się do naszych terenów. Musimy być przygotowani na nalot powietrzny" i podawał nowe sygnały alarmowe.

W szponach terroru czerwonoarmistów

Volkssturmiści, strażacy i żołnierze jednostek pomocniczych nie mogli obronić Liegnitz w sytuacji, gdy na dalekich przedpolach tego miasta zawiodły jednostki bojowe z 57. Korpusu Pancernego generała Friedricha Kirchnera. W Liegnitz nie powtórzył się więc scenariusz, którego realizacja akurat rozpoczynała się w Breslau i Glogau (Głogowie): długiego oblężenia przez jednostki Armii Czerwonej, licznych bombardowań i walk ulicznych. I Wrocław, i zwłaszcza Głogów poniosły ogromne straty materialne. Czerwonoarmiści zajmowali ruiny tych miast.

Tymczasem Liegnitz w lutym 1945 roku nie poniosła wielkich strat. Spłonęło raptem kilkanaście budynków, prawdopodobnie celowo podpalonych przez Rosjan, a w zamku, którego bronili volkssturmiści i policjanci, wybuchł pożar, szybko zresztą ugaszony.

Po 10 lutego 1945 roku, gdy Liegnitz znajdowała się pod wyłączną kontrolą radzieckiej komendantury wojskowej, przez miasto przetoczyła się fala terroru. Pozostałej tu ludności cywilnej czerwonoarmiści zgotowali piekło. Rabunki, gwałty i zbrodnie były na porządku dziennym i... nocnym. Żołnierze nie tylko szukali kobiet – od prawie dzieci po bezzębne staruszki – ale również członków NSDAP i w ogóle ludzi związanych z reżimem nazistowskim. Ci, którzy w Liegnitz cokolwiek znaczyli, uciekli. Jedni dosłownie, inni w dniu wkroczenia Armii Czerwonej popełnili samobójstwo. W sieci zarzucone przez Rosjan najczęściej wpadały więc nic nieznaczące plotki, które na ogół natychmiast rozstrzeliwano.

Los taki spotkał także wielu jeńców wojennych, w tym również wziętych do niewoli volkssturmistów. Jeden z nich przeżył własną śmierć: „Około godziny 16:00 przyszedł do nas radziecki oficer i powiedział, że jeden z nas trzech ma iść z nim. [...] Jako pierwszy poszedł Hermann. [...] Oficer po chwili wrócił i kazał iść mnie. Poprowadził mnie na podwórze restauracji. [...] Kiedy tam wszedłem, zobaczyłem dużo trupów. [...] Po chwili otrzymałem strzał. Upadłem i zobaczyłem obok Hermanna, który umierał. Otrzymałem drugi strzał i jeszcze jeden, który przestrzelił mi policzek. [...] Przez cały czas byłem przytomny i zobaczyłem, jak w ten sposób umiera trzeci volkssturmista".

Volkssturmiści z formalnego punktu widzenia byli żołnierzami Wehrmachtu, których chroniła konwencja genewska. Ale Rosjanie jej faktycznie nie przestrzegali, podobnie zresztą jak wcześniej Niemcy w stosunku do czerwonoarmistów.

Żołnierze Stalina nie tylko terroryzowali pozostałych w mieście Niemców, ale także podpalali niektóre budynki, zwłaszcza krótko po 10 lutego, a więc tuż po zajęciu Liegnitz. Ale na prawdziwą orgię

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

Liegnitz w obiektywie operatora radzieckiej czołówki filmowej: kolumna pojazdów Armii Czerwonej i patrol żołnierski na jednej z uliczek miasta. Zdjęcia filmowe prawdopodobnie wykonano tuż po zajęciu Legnicy, o czym świadczą choćby trupy leżące na ulicach.

zniszczeń i podpaleń trzeba było czekać do 9 maja, gdy garnizon radziecki rozpoczął świętowanie zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami. Totalne pijaństwo trwało kilka dni. Na wiwat strzelano z chyba wszystkich luf będących w dyspozycji czerwonoarmistów.

Wkrótce zagoniono do pracy legnickich Niemców. Specjaliści pod nadzorem Rosjan uruchomili elektrownię i wodociągi. Woda popłynęła w kranach już 3 marca, a dwanaście dni później prąd. Dostawy tych – jakbyśmy dziś powiedzieli – mediów – nie były wielkie i ledwie wystarczały na potrzeby garnizonu radzieckiego. Inni Niemcy usuwali z ulic i podlegnickich dróg rozkładające się zwłoki swych rodaków (poległych żołnierzy radzieckich pochowano oddzielnie z honorami wojskowymi), a jeszcze innych wywieziono w głąb ZSRR na radziecką odmianę robót przymusowych. Niewielu z nich wrócilo później do powojennych Niemiec.

Czerwonoarmiści rabowali nie tylko prywatne mienie legnickich Niemców. Jak wszędzie na zajętych przez Rosjan terenach Rzeszy z pomocą jeńców demontowano maszyny i urządzenia produkcyjne z miejscowych przedsiębiorstw, w tym między innymi Telefunkena i Lorentza. Te łupy wojenne nie na wiele się chyba Rosjanom przydały, ponieważ często usuwano je z fabryk niefachowo, przy okazji niszcząc lub uszkadzając najbardziej wrażliwe elementy, choćby sterownicze. A ponadto zrabowane maszyny zgromadzone w okolicach dworca kolejowego pod gołym niebem niszczały, miesiącami czekając na transport do Związku Radzieckiego.

Stalin: traktujcie ich lepiej!

Gdy tylko przeminęła główna fala gwałtów, rabunków i mordów, miasto przekształcono w punkt etapowy dla udających się na front jednostek 1. Frontu Ukraińskiego. Powstała tu baza remontowa sprzętu samochodowego oraz urządzono składy żywności połączone z przetwórstwem zdobycznego zboża na mąkę i kaszę oraz ubojnia zdobycznych zwierząt >>>

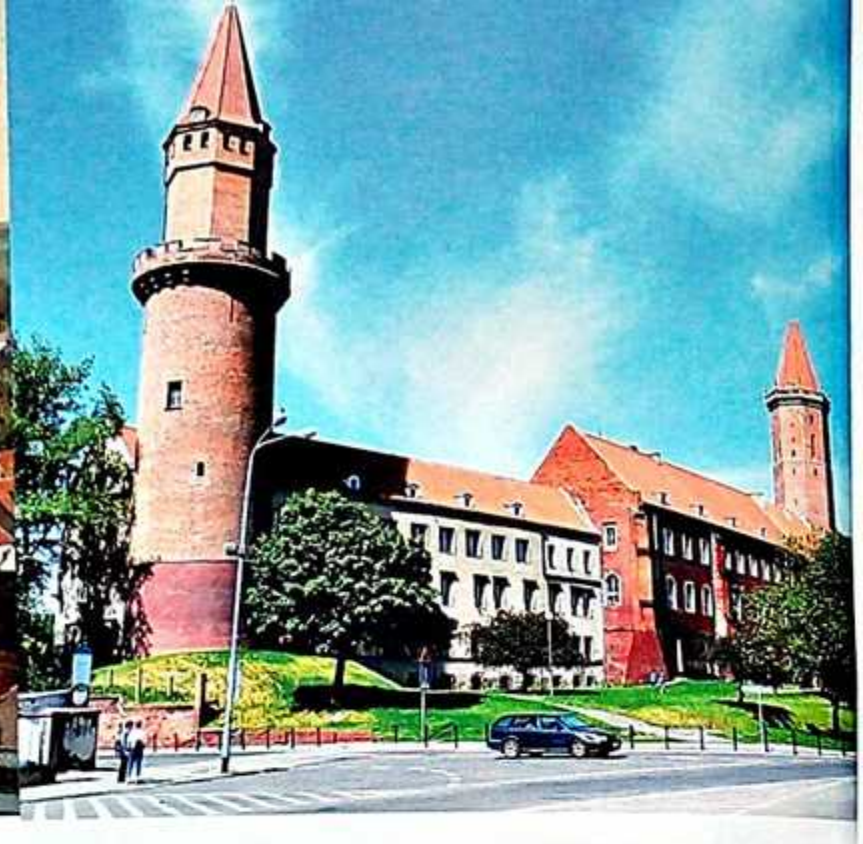

Zamek w Legnicy po jego odbudowie ze zniszczeń w 1945 roku.

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

>>> wraz z masarnią. Jednocześnie miasto stało się wielkim szpitalem dla rannych i chorych żołnierzy. Zatrudniono w nich także legnickich Niemców, którzy wykonywali różne prace pomocnicze: prali, sprzątali, naprawiali, a nawet obsługiwali co bardziej skomplikowany sprzęt medyczny, który Rosjanie zastali w niemieckim szpitalu wojskowym na obrzeżach Liegnitz.

W tym też czasie z Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej nadszedł rozkaz nakazujący zmianę zachowania w stosunku do Niemców na „bardziej humanitarne". Zmiany dotyczyły zarówno jeńców, jak i cywilów. „Traktujcie ich lepiej" – apelowano. Jednocześnie rozkaz zmieniał zasady postępowania z członkami NSDAP, których dotychczas rozstrzeliwano na miejscu: „Szeregowych członków partii narodowosocjalistycznej, jeśli lojalnie odnoszą się do Armii Czerwonej, nie ruszać. A zatrzymywać tylko przywódców".

Gdy coraz bardziej realną stawała się przyszła granica polsko-niemiecka na Nissie (jak wówczas nazywano Nysę Łużycką) i Odrze, kontrolowany przez komunistów z PPR Rząd Tymczasowy RP zainteresował się Liegnitz, którą przemianowano na Lignicę. To duże i uprzemysłowione, chociaż zdewastowane przez Armię Czerwoną miasto mogło stać się perłą w koronie nowych ziem Rzeczypospolitej – rozumowano w Warszawie i Łodzi. Ktoś z zaplecza rządu premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego przypomniał sobie, że w legnickim kościele świętego Jana powinno – jeśli nie zniszczyli tego Niemcy – znajdować się Mauzoleum Piastów z obrazami przedstawiającymi najstarsze dzieje Polski, jak chrzest Mieszka I i koronację Bolesława Chrobrego. Dla rządzących ówczesną Polską był to namacalny dowód na polską przeszłość miasta nad Kaczawą.

I do takiej właśnie Lignicy 25 kwietnia 1945 roku przybyli pierwsi przedstawiciele władz polskich na okręg Dolnego Śląska na czele z pełnomocnikiem rządu RP Stanisławem Piaskowskim. O Breslau trwały jeszcze walki, więc władze okręgowe (późniejsze wojewódzkie) na swą siedzibę wybrały właśnie to mało zniszczone miasto z wyraźnymi śladami piastowskiej przeszłości i rozbudowaną infrastrukturą komunalną z komunikacją tramwajową na czele. W tamtych dniach Lignica stała się nieoficjalną stolicą Dolnego Śląska.

Latem 1945 roku na łamach polskiej prasy Edmund Jan Osmańczyk pisał: „W Lignicy, siedzibie województwa dolnośląskiego, nie ma ani jednego Niemca. Spotykamy tylko Polaków, których jest dużo, ale to liczba nadal niewystarczająca, aby ożywić piękne śląskie miasto, mało zniszczone, o wielkich możliwościach rozwojowych".

Być może to kłamstwo miało zachęcać Polaków do przyjazdu i osiedlania się w tym mieście. Ale nad nim – o czym Osmańczyk nie wiedział – gromadziły się już ciemne chmury. Gdy w kinach wyświetlano wydanie 19/45 Polskiej Kroniki Filmowej z krótką sekwencją legnicką, której towarzyszył następujący komentarz: „Lignica, stolica Dolnego Śląska, miasto o rozwiniętym przemyśle maszynowym, włókienniczym i drzewnym. I tu, jak wszędzie na Śląsku, zabytki architektury wskazują niezbicie na polski charakter miasta. Tradycję piastowską i znak orła białego wykorzystali Niemcy jako markę fabryczną piwa lignickiego", duża część ówczesnej Lignicy przestała być polską. Miasto to Rosjanie wybrali bowiem na siedzibę dowództwa i sztabu stacjonującej w Polsce Północnej Grupy Wojsk Armii Czerwonej, wkrótce przemianowanej na Armię Radziecką. Ponoć takiego wyboru latem 1945 roku dokonał dotychczasowy dowódca 2. Frontu Białoruskiego, marszałek ZSRR Konstanty

Rokossowski, a zgodę na taki wybór wyraził Józef Stalin. Rokossowski został też pierwszym dowódcą tej grupy wojsk, w której skład weszły głównie walczące pod jego dowództwem w Prusach Wschodnich i Zachodnich oraz na Pomorzu Zachodnim oddziały Armii Czerwonej.

Burzenie zabytków

Gdy do Lignicy przyjeżdżały transporty ludności polskiej z przedwojennych Kresów Wschodnich, w zamkniętej dla Polaków części miasta pracowało wielu Niemców. Jeśli nadal potrzebni byli oni Rosjanom, a na ogół byli, nie mogły ich spotkać żadne oficjalne szykany ze strony Polaków. W grę nie wchodziło zwłaszcza wysiedlenie do którejś ze stref okupowanych Niemiec.

I tak, zawieszeni gdzieś między Polakami i Rosjanami, żyli sobie legniccy Niemcy. Mieszkali w polskiej części miasta, ale Rosjanie utworzyli dla ich dzieci szkołę podstawową z niemieckim językiem wykładowym i polskim jako językiem dodatkowym. Mieli własny sklep, gdzie na kartki kupowali choćby mięso, mieli parafię ewangelicką i niemieckie związki zawodowe. Działały amatorskie zespoły kulturalne i organizacja niemieckich pionierów. Na początku lat 50. XX wieku władze polskie wymieniły ich stare kennkarty na dowody tożsamości cudzoziemców.

Jürgen Gretschel nie wyjechał z Legnicy – jak niemal wszyscy Niemcy – po 1956 roku. W 1971 roku otrzymał obywatelstwo polskie, a w 2002 roku wystąpił w telewizyjnym filmie dokumentalnym „Lignica" z cyklu „Prawdziwy koniec wielkiej wojny". Po polsku, chociaż z wyraźnie obcym akcentem, wspominał dni, gdy jako czteroletnie dziecko musiał się ewakuować z rodzinnej Liegnitz. Był wtedy za mały, by mógł to pamiętać, może poza drobnym epizodem podróży czołgiem, kiedy to solidnie zmarzł. O szczegółach ucieczki poinformowali go później dziadkowie. A więc na wóz konny załadowano najcenniejszy dobytek i ruszono w kierunku Jeleniej Góry. Gretschel rygorystycznie przestrzegał, by przed kamerą wymieniać obecne nazwy polskie,

Nowe domy, szerokie ulice i komunikacja tramwajowa to oblicze Liegnitz z końca lat 30.

Legnica 1945.
Robert Primke, Maciej Szczerepa, Wojciech Szczerepa.
To publikacja ukazująca upadek pewnego mitu i koniec nadziei niemieckich mieszkańców Dolnego Śląska, i tym samym Legnicy, na powstrzymanie sowieckiej nawały na linii Odry. Autorzy, prezentują praktycznie nieznane lub mało znane fakty oraz wydarzenia ze stycznia i lutego 1945 roku.
Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

a przecież wtedy nie było jeszcze Jeleniej Góry. Była Hirschberg. I tak – on, matka, babcia, dziadek i służąca – jechali sobie na południowy zachód, ale ich „podróż" przerwali esesmani, którzy zarekwirowali konie. Z opresji wybawili ich wkrótce żołnierze z jednostki pancernej, w której służył ojciec Jürgena. Czołg wziął wóz na hol (wtedy to czterolatek jechał wewnątrz tego pancernego kolosa) i tak dojechali do Jeleniej Góry...

Gretschelowie uciekali dalej, do Saksonii. Ale w końcu zatrzymali ich Rosjanie i cofnęli. Do Liegnitz, a właściwie już do Lignicy, wrócili 20 maja. Drzwi mieszkania zastali zabite, ale babcia Jürgena >>>

Jedna z nielicznych kamieniczek legnickiej starówki, której nie zburzono w połowie lat 60., po niedawnym remoncie. Z lewej fragment zamku.

>>> poszła do radzieckiego komendanta, który zezwolił na wejście. W środku prawie wszystko było na swoim miejscu.

Jürgen Gretschel wystąpił nie tylko w filmie „Lignica" i kilku innych dokumentach, nie tylko polskich. Był też jednym z bohaterów reportażu Pawła Smoleńskiego „Polacy, Niemcy, Żydzi, Rosjanie, Tatarzy" zamieszczonego w „Magazynie Gazety Wyborczej" 10 marca 1995 roku. Smoleński zacytował między innymi i tę wypowiedź Gretschela: „[Rosjanie – przyp. autora] nie gnębili nas, bo do dziadka przylgnęło, że był antyfaszystą; kilka miesięcy siedział w berlińskim więzieniu, padło na niego podejrzenie, że sympatyzował z uczestnikami zamachu na Hitlera. Wtedy jedynym właścicielem Legnicy była Armia Czerwona: dyktowała prawo, dawała pracę, decydowała, kto może zostać, a kto musi odejść. Wielu Niemców wzięła pod parasol, bo byli potrzebni: uruchamiali wodociągi, elektryczność, fabryki. Matka prała bandaże w szpitalu, dziadek był palaczem. Babcia na starej singerówce szyła Rosjankom biustonosze, a potem kreacje dla generałowych".

Jürgen Gretschel nie mógł przeboleć jednego – zniszczenia legnickiej starówki przez Polaków dwadzieścia lat po wojnie. To jedna z bardziej wstydliwych spraw z czasów rządów Władysława Gomułki. Trudno nawet ustalić szczegóły, ale prawdopodobnie decyzję w tej sprawie – z inspiracji dolnośląskiej organizacji PZPR – podjęło Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, a formalną zgodę w 1963 roku wyraził minister kultury i sztuki PRL Tadeusz Galiński. Rozebrano wówczas 97 zabytkowych kamieniczek staromiejskich będących na ogół w dobrym stanie i bezmyślnie zasypano kanał Młynówki, który w przypadku obfitych opadów odprowadzał nadmiar wody. Straty spowodowane przez wielką powódź w 1978 roku, gdy z tego właśnie powodu niemal cała Legnica znalazła się pod wodą, liczono w milionach.

Pracę zawodową w Przedsiębiorstwie Komunikacji Samochodowej w Legnicy Jürgen Gretschel godził z działalnością społeczną w PTTK i ZHP. Wspólnie z Iloną Kuczerenko założył dziecięco-młodzieżowy zespół taneczny „Złoty Lew". W wolnych chwilach sklejał modele żaglowców, a do tego wszystkiego uczył młodzież historii Dolnego Śląska i miłości do małej ojczyzny, której wiernym pozostał do grobowej deski...

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. W minionym roku ukazały się dwie jego książki: „Prusy w ogniu. Między Królewcem a Toruniem" oraz „Tajemnicza broń Hitlera. Na tropie tajnych badań III Rzeszy". Wiosną tego roku do księgarń trafi kolejna książka Adamczewskiego „Na podbój świata. Śląskie sensacje wojenne".

Stare miasto w Legnicy.

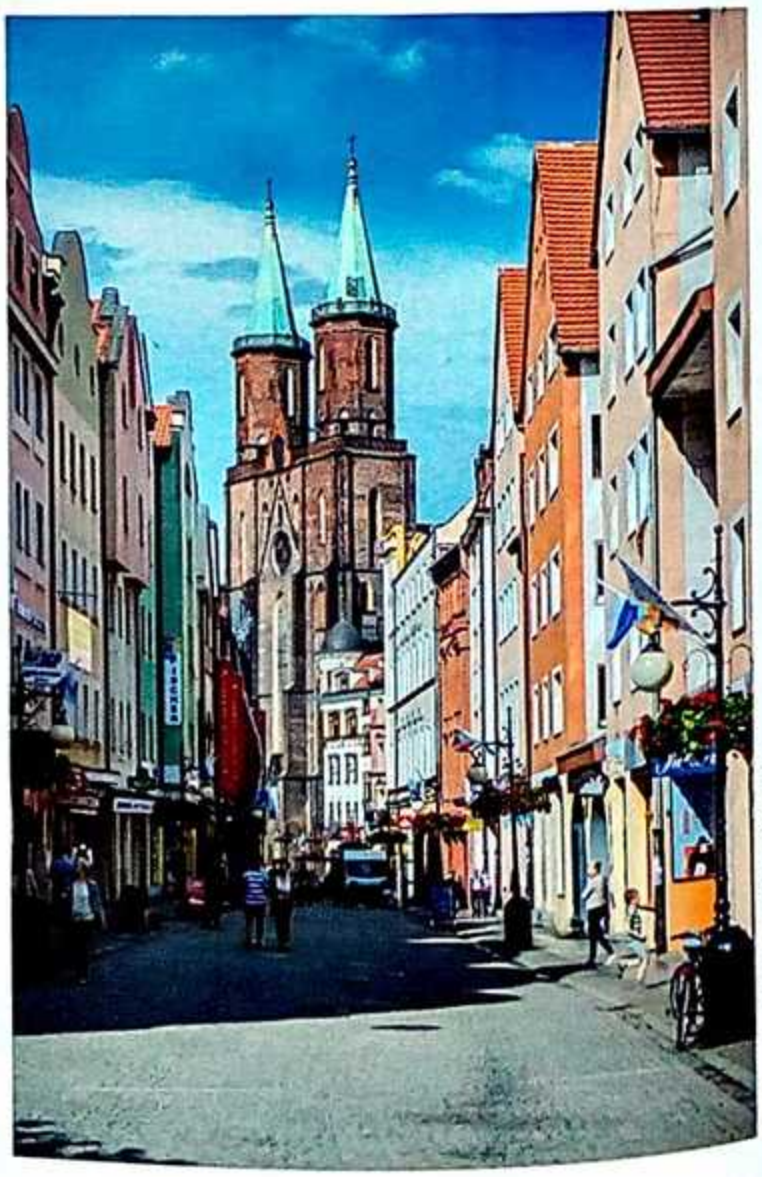

fot. Leszek Adamczewski, Wikimedia

KURIOZALNE KARABINY WOJEN ŚWIATOWYCH

JACEK JAWORSKI

O broni służącej strzelaniu „zza węgła": od pierwszej wojny światowej po dzisiejsze zastosowanie.

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Unikatowy karabin z okresu I wojny światowej łączący peryskop z zakrzywioną lufę.

WSTĘP

W 1915 roku działania wojenne na zachodnim froncie utknęły w okopach. Tam koncentrowała się walka, stamtąd dokonywano na ogół bezskutecznych i okupionych krwią wypadów, tam trwało codzienne życie milionów żołnierzy, tam też rodziły się niekiedy zaskakujące pomysły i konstrukcje militarne niekiedy wyprzedzające myśl techniczną, jaka rodziła się w wyspecjalizowanych pracowniach.
I wojna światowa przyniosła rozkwit wszelkiego rodzaju niespotykanych dotąd typów broni. Powstały typy karabinów, które paradoksalnie, miały nie tylko zabijać, ale i chronić życie żołnierzy. Fotografia obok, ukazująca nieznanego z nazwiska konstruktora, przedstawia taką broń, która łączy obie te funkcje, lecz zarazem wytycza kierunki wynalazczości militarnej, które poszły dwoma oddzielnymi ścieżkami. Podczas gdy przedstawiony tu karabin zawiera i peryskop, i zakrzywioną lufę, to jednak konstruowano broń strzelecką z tymi elementami, lecz występującymi całkowicie oddzielnie – albo karabin z peryskopem, albo z zakrzywioną lufą.

ROZWIĄZANIA Z I WOJNY ŚWIATOWEJ

We wrześniu 1915 roku angielski Urząd Patentowy przyznał wynalazcy J. E. Chandlerowi patent na urządzenie do karabinu Lee-Enfield, pozwalające strzelać z okopu bez wystawiania się na niebezpieczeństwo postrzału. Montowało się go szybko, bez specjalnych narzędzi, wprost w okopach. W zestawie były następujące akcesoria: dodatkowy uchwyt w kształcie dawnego pistoletu, umieszczony na końcu wysięgnika, peryskop, cięgło do gałki zamka i stalowa linka do spustu. Żołnierz pozostawał w ukryciu na dnie okopu, mogąc z tego wspomagającego urządzenia wystrzelać cały magazynek bez wychylania się poza krawędź transzei. Całość – karabin z urządzeniem ściągał dopiero po opróżnieniu magazynka.

Uchwyt i cięgło zamka urządzenia peryskopowego do strzelania z okopów.

Ciekawe, że tydzień wcześniej podobny patent został wręczony innemu wynalazcy o nazwisku G. Gérard. Jego wynalazek zasadniczo różnił się odpowiednio wygiętą, drugą kolbą, bezpośrednio trzymaną przez strzelca. Z czasem powstało wiele odmian tych ratujących życie urządzeń strzeleckich, by wymienić przynajmniej brytyjską konstrukcję płk S. Douglasa czy francuską płk J. Mordaque i A. Clementa. Podobne skonstruowano również w armii kanadyjskiej i rosyjskiej. W niektórych rozwiązaniach konstrukcyjnych, gdzie załamane kolby karabinów współgrały z peryskopami, strzelec musiał stać tyłem do linii strzału.

Karabin peryskopowy konstrukcji płk. S. Douglasa.

Typy brytyjskich karabinów peryskopowych.

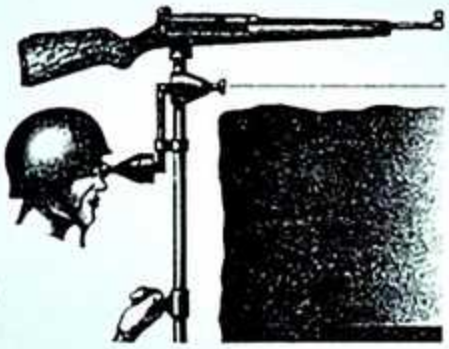

Francuskie peryskopowa konstrukcje karabinu wg pomysłu płk J. Mordaque i A. Clementa.

Rosyjski karabin okopowy Mosin wz. 1891 skonstruowany w 1916 roku.

Żołnierze brytyjscy, francuscy, nowozelandzcy, australijscy z karabinami peryskopowymi. W przypadku Australijskiego Korpusu Armijnego, za wynalazcę tej konstrukcji uznaje się sierż. Williama Beecha z 2. Batalionu Australian Imperial Force, który skonstruował go w maju 1915 roku. Australijczycy wykonywali je wprost w okopach i używali pod Anzac Cove i Quinns Post na półwyspie Gallipoli w Turcji. Oceniono go jako mało efektywny, lecz uratował życie wielu żołnierzom.

fot. arch. autora

>>>

W 1943 roku na froncie wschodnim karabiny z peryskopem otrzymywali niemieccy żołnierze Wehrmachtu z oddziałów specjalnych, które miały za zadanie likwidację oficerów i dowódców Armii Czerwonej. Peryskopy zakładano na karabiny samopowtarzalne G41 (W) i G41 (M) oraz na Mausery 98K. Kolba oddzielona była od korpusu żelaznym, pionowym elementem zaopatrzonym w wizjer, a specjalne cięgło łączyło spust przy kolbie z mechanizmem zamka. Celowanie z takiej konstrukcji było utrudnione z powodu znacznego przesunięcia środka ciężkości karabinu ku przodowi i dużej wagi, od 9,5 do 10,4 kg, co wymagało oparcia całości stałą podporą.

Z czasem patent z peryskopem został zastąpiony przez pokrewny i niezwykły pomysł wygięcia samej lufy karabinu z ewentualnym dodaniem specjalnego celownika optycznego. Oba projekty miały ten sam cel – skutecznie chronić żołnierza.

Niemiecki pistolet maszynowy Krummlauf 45 to broń o szczególnych cechach. Jej zadaniem było umożliwienie bezpiecznego strzelania zza węgła lub z wieżyczki czołgu bez potrzeby wychylania się na zewnątrz. W tym celu odpowiednio zmodyfikowano pistolet maszynowy StG44 Sturmgewehr. Dano mu zakrzywioną nasadkę na lufę, tzw. konwertor o wygięciu 30 do 45 stopni. Nakładano go przed muszką za pomocą łatwo obsługującego się rygla, a następnie montowano peryskop. Jego długość wynosiła

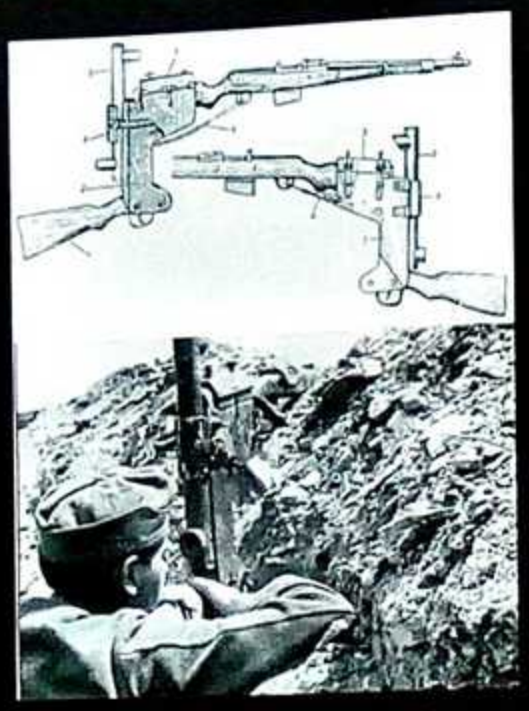

Schemat karabinu G41 z perysykopem z 1943 roku i G41 w akcji.

1,2 m. Strzelał amunicją kal. 7,62 mm, posiadał magazynek na 30 naboi, zasięg ognia wynosił 2000 m. Wyprodukowano kilka jego wersji: „I" do użytku przez piechotę, „P" o wygięciu lufy od 30 do 45, 60 i 90 stopni. Do takich modyfikacji przystosowywano pistolety maszynowe StG44, MG34 i MG42.

Taki karabin maszynowy był marzeniem każdego walczącego w warunkach miejskiej zabudowy piechura, ale Krummlauf wymyślono z innym założeniem. Miał umożliwić skuteczną ochronę pojazdów pancernych ze strony asystującej im piechoty, która podczas natarcia mogła prowadzić ogień bez wychylania się zza pancerza. W praktyce okazało się, że celowanie w takich warunkach było trudne i zawodne. Zakrzywiona lufa miała jednak ograniczoną wytrzymałość. Poza tym zmiana w przebiegu ciśnień w krzywej lufie (wyższe ciśnienie wylotowe), mogło być sporym problemem w takim automacie jak MG 34, gdzie zamek otwierał się przy dość wysokim ciśnieniu. Skoro lufa i sam pocisk podczas wystrzału poddawane były ogromnemu ciśnieniu, to niemieccy projektanci wywiercili w lufie otwory, przez które gazy uwalniały się na zewnątrz, gdy pocisk zwalniał na zakręcie. To zmniejszało ciśnienie i naprężenia, którym był poddawany karabin. Zmiana przebiegu ciśnień w krzywej lufie (wyższe ciśnienie wylotowe), gdzie zamek otwierał się przy dość wysokim ciśnieniu, stwarzało niewystępujące dotąd problemy z obsługą karabinu. Mimo tego ulepszenia Krummlauf nadawał się do wyrzucenia po wystrzeleniu zaledwie 300 strzałów. Próby na poligonie wykazały niewielką skuteczność Krummlaufa, co przy wysokich kosztach budowy takiego karabinu doprowadziło do porzucenia prac nad nim.

StG-44 Sturmgewehre w wersji Krummlauf.

ROSYJSKIE ROZWIĄZANIA

Zaraz po wojnie do idei karabinu o krzywej lufie nawiązali Rosjanie. W przeciwieństwie do Niemców nie zastosowali nakładki na standardową broń strzelecką, ale skonstruowali specjalistyczną broń z krzywą lufą. Eksperymentowali z różnymi kalibrami (nawet 20 mm!). Zbudowany wówczas czołgowy ciężki karabin maszynowy KSGM Goriunow wykonywano także w wersji o zakrzywionej lufie. Tematem tym zajmowali się konstruktorzy N. Makarow i K. Kurienkow. Zasadniczo były przeznaczone dla czołgistów, aby mogli strzelać szerzej, także w martwą strefę, lecz montowano je również w stałych ukrytych pod ziemią punktach oporu. Z pancernej pokrywy takiego stanowiska wystawał tylko wylot zakrzywionej o 30 stopni lufy. Do celowania służył odpowiedni celownik optyczny. Automatyka KSGM działała na

Krzywolufowy ckm KSGM Goriunowa. Opancerzone stanowisko ogniowe karabinu KSGM Goriunow z zakrzywiona lufą, pozwalające na prowadzenie ognia o 360°.

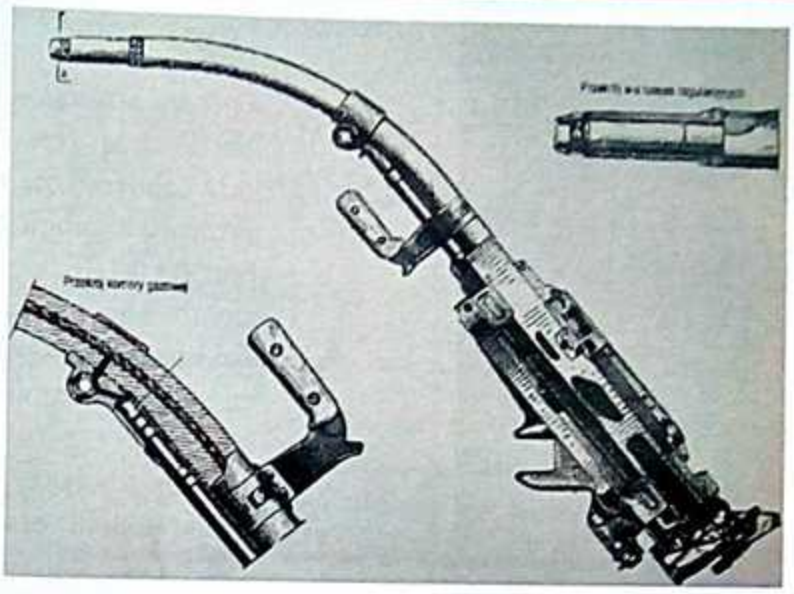

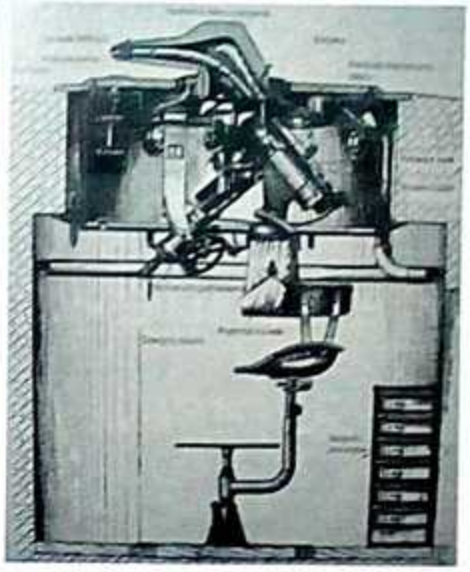

PPSz 41 z zakrzywioną o 30° nakładką na lufie.

Doświadczalny, czołgowy km z krzywą lufą, skonstruowany na bazie Kałasznikowa.

zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór lufy, która była nieruchoma, co ułatwiało zastosowanie tegoż patentu.
W zakrzywioną lufę wyposażono nawet prototypową odmianę pistoletu maszynowego PPSz. Skonstruowano ją w 1945 roku i miała służyć do strzelania z okopów i pojazdów pancernych. Eksperymentowano też z rkm-em Digtiariew i wreszcie z Kałasznikowem AK 47. Ale najlepsze rezultaty w zakresie broni krzywo lufowej uzyskali Rosjanie w konstrukcji kbk AK, na naboje pośrednie 7,62x39.

AMERYKAŃSKA NASADKA

Amerykanie natomiast, podobnie jak Niemcy, postawili na zakrzywioną nasadkę do standardowej broni, a konkretnie pistoletów maszynowych kal. 45ACP. Nie miała jednak ona postaci rury (lufy), ale jakby półokrągłej rynienki, po której ześlizgiwały się pociski. Latem 1945 roku w Fort Knox badano zestaw składający się z pistoletu maszynowego M3, wygiętej pod kątem 90° rury nakładanej na wylot lufy, mocowania tejże do standardowego obrotowego jarzma peryskopu czołgowego, T122 i celownika nakładanego na jego dolny pryzmat. Ze 100 jardów dawało się trafiać w sylwetkę piechura, a pociski przebijały calową deskę sosnową, czyli były w stanie zabić. Zastosowanie wykrzywionej lufy do broni indywidualnej, gdzie lufa jest nieruchoma, miało pewne technologiczne uzasadnienie. Jednak już w przypadku broni działającej na zasadzie odrzutu lufy, oddziaływującej na mechanizm ryglujący, drastyczna ingerencja w masę owej lufy (przez nałożenie zakrzywionej nasadki), czyli przemieszczenie środka masy ruchomego elementu, a tym bardziej wygięcie jej samej, musiała spowodować problemy w pracy mechanizmu.

Amerykanie podejmowali prace nad pistoletem maszynowym M3 z nakręcaną, zakrzywioną o 90 stopni nakładką na lufie.

IZRAELSKI CORNER SHOT

Izraelski Corner Shot.

Patent tego rodzaju nie przetrwał próby czasu. Aktualnie jest w użyciu broń do strzelania „zza węgła", ale zbudowana na innej zasadzie. Corner Shot to całkowicie nowa generacja karabinów o zakrzywionej lufie. Jest doskonałym przykładem ciągłości myśli technologicznej konstruktorów ubiegłego okresu. Idea pozostaje ta sama, lecz dawna inspiracja została tu twórczo wykorzystana, przetworzona i rozwinięta dzięki postępowi technicznemu. Corner Shot to automatyczny pistolet maszynowy z łamaną lufą i kamerą o wysokiej rozdzielczości. Stanowi rozwinięcie niemieckiego pomysłu z okresu II wojny światowej. Konstrukcyjnie jednak wszystko je różni. Impulsem do opracowania tak niezwykłego karabinka stały się ciężkie walki, jakie izraelska armia stoczyła z bojówkami Hamasu na ulicach Bejrutu. Na ten pomysł wpadł dowódca policyjnych antyterrorystów,

>>>

REBIS

Najnowsza książka autora kontrowersyjnego *Obłędu 44*!

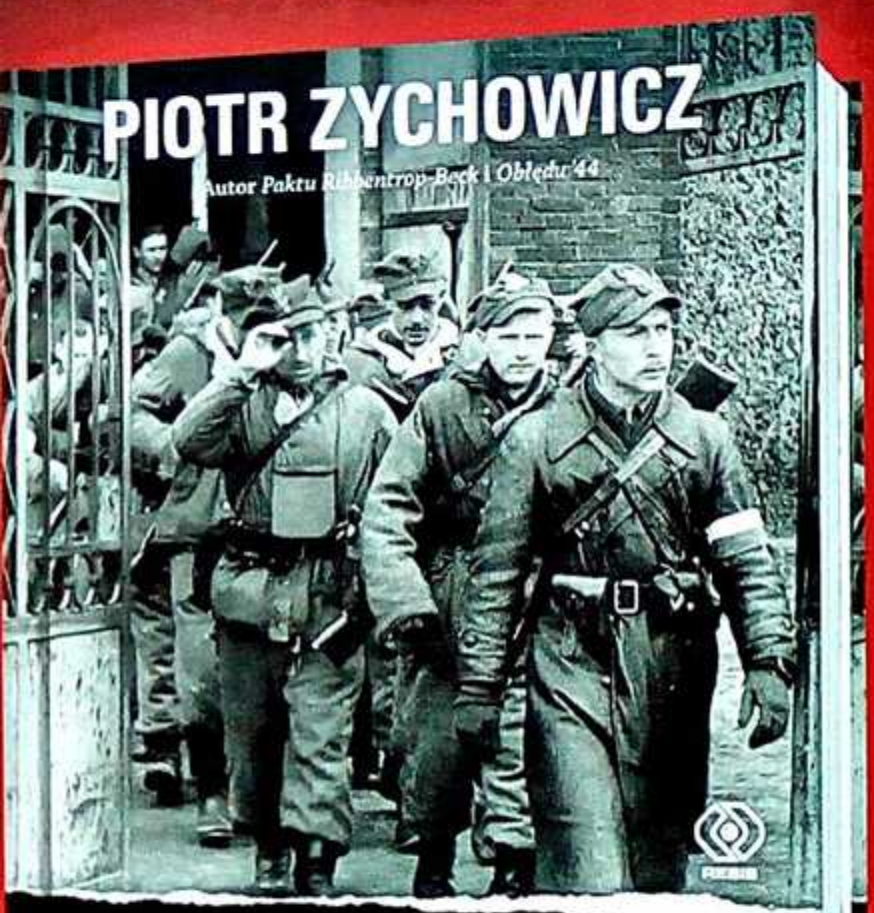

SKAZY NA PANCERZACH

Czarne karty epopei Żołnierzy Wyklętych

Napisana bez przemilczeń i lukru odkrywa czarne karty z epopei Żołnierzy Wyklętych.

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

www.rebis.com.pl FB/DWREBIS

REKLAMA

>>>

a potem oddziałów specjalnych Izraela płk Emos Golan. W urządzeniu tym nie łamie się sama lufa, lecz cały osadzony na nim karabinek. Może to być standardowy karabinek szturmowy, Glock, Sig Sauer, CZ, Baretta, M-16. Corner Shot daje także możliwość zamontowania na nim wyrzutnika granatów kal. 44 mm. Taki pocisk z łatwością zniszczy pojazd lub niewielką szopę. Karabinek łamie się jednym ruchem. Na lufie, jeśli trzeba – z tłumikiem – znajdują się dwie kamery z obiektywem szerokokątnym, dającym pełny obraz pola ostrzału. Jedna daje przede wszystkim czas na ocenę sytuacji, namysł, druga kamera daje obraz na dalszą odległość. Odpalanie odbywa się przez użycie zwykłego mechanizmu spustowego w tylnej część urządzenia. Corner Shot pozwala na zagięcie lufy o 63 stopni i jest obecnie jedynym, który umożliwia strzelcowi na całkowite pozostawanie za osłoną i jednocześnie obserwowanie celu na monitorze karabinka. To niezwykle przydatna broń, szczególnie do zwalczanie zagrożeń ze strony terrorystów, służąca głównie do walk na krótki dystans. Karabinki ten posiadają 1–2 żołnierzy w drużynie izraelskich sil specjalnych. Nabyły go już armie 15 państw. Podobne konstrukcje rozwija obecnie armia Stanów Zjednoczonych. Szereg amerykańskich wytwórni broni pracuje nad wziernikami na karabiny, które transmitują obraz z kamery cyfrowej wprost na gogle żołnierza.

Jacek Jaworski
Politolog, arabista, z zamiłowania historyk wojskowości, wiceprezes Stowarzyszenia Klub Miłośników Dawnych Militariów Polskich, autor kilku książek, klikudziesięciu artykułów, uczestnik konferencji naukowo–historycznych w kraju i za granicą.

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

ZAPŁON TYPU „AUSTRIACKIEGO" W POLSKIEJ AMUNICJI STRZELECKIEJ W OKRESIE II RP

PIOTR J. BOCHYŃSKI

Został wynaleziony przez... nie wiadomo dokładnie przez kogo. Wiadomo natomiast, że rozwiązanie to pojawiło się w amunicji austriackiej w połowie lat 80. XIX wieku.

Temat wydawałoby się prosty: jakie typy zapłonów stosowano w polskiej amunicji strzeleckiej w okresie II Rzeczypospolitej? Odpowiedź na to pytanie wydaje się oczywista: zapłon typu Berdana. Był on powszechnie stosowany w amunicji wojskowej w krajach europejskich w ówczesnym czasie. Jego konstrukcja opierała się na tym, że miseczka z masą zapłonową umieszczana była w gnieździe w denku łuski, w którym znajdowało się stałe kowadełko. Do wnętrza łuski prowadziły zazwyczaj dwa kanaliki ogniowe rozmieszczone symetrycznie wokół kowadełka.

Jednakże czy sprawa jest aż tak prosta? Gdy przyjrzeć się bliżej temu tematowi, jest on o wiele bardziej interesujący i nie taki jednoznaczny, jakby się wydawało. Na początek warto sięgnąć do informacji technicznych z tamtego okresu i oprzeć się na ówczesnych opracowaniach fachowych. W książce „Amunicja karabinowa" z 1933 roku autorstwa Tadeusza Łukaszewskiego omawiane są główne typy zapłonów, które powszechnie wówczas występowały w amunicji: „W środku dna łuski znajduje się gniazdko dla spłonki, kowadełko i dwa kanaliki ogniowe, skierowane skośnie do siebie (rys.67a) /łuski polskie i niemieckie/. W łuskach francuskich, angielskich i większości innych kanaliki są równoległe do osi łuski (rys.67 b), a łuski austryjackie posiadają jeden tylko kanalik, umieszczony w środku dna łuski i przechodzący przez kowadełko (rys,67 c)".

Opis ten był dodatkowo zilustrowany bardzo czytelną grafiką dołączoną do tej pozycji.

Inne informację na temat typów zapłonów i ich konstrukcji można odszukać i znaleźć w tomach „Encyklopedii Wojskowej" pod redakcją Ottona Laskowskiego wydawanej w okresie międzywojennym, gdzie przedstawione są rysunki dla amunicji w kalibrach 7,92x57 i 8x50R Lebel.

Zapłon Berdana był stosowany również powszechnie w amunicji pistoletowej i rewolwerowej polskiego wyrobu (9x19, 7,62x38R, 6,35x15SR, 7,65x17SR) oraz w amunicji kalibru 7,92x107. Z kronikarskiego obowiązku możemy dodać, że wyjątkiem w polskiej amunicji strzeleckiej z okresu II RP, gdzie stosowano nietypowy jak dla nas zapłon Boxera, była amunicja wielkokalibrowa 13,2x99 Hotchkiss. Nie uwzględniam tu w rozważaniach amunicji sygnałowej (25 mm, 35 mm).

1 Znakowanie naboju 7,92x57mm produkcji Z.A. „Pocisk" z 1922 roku z widocznym zapłonem typu austriackiego.

2 7,92x57 mm Z.A. „Pocisk" z 1923 roku.

3 7,92x57 mm Z.A. „Pocisk" z 1924 roku.

4 7,92x57 mm Z.A. „Pocisk" z 1925 roku.

5 7,92x57 mm Z.A. „Pocisk" z 1926 roku.

I tutaj docieramy do meritum naszej opowieści, czyli zapłonu typu austriackiego stosowanego w polskiej amunicji strzeleckiej. Czym takim się szczególnym wyróżniał spośród innych rozwiązań?

Zapłon typu austriackiego

Zapłon tego typu jest niejako modyfikacją zapłonu typu Berdana, ale zasadnicza różnica w budowie polega na tym, że stałe kowadełko było nacięte poprzecznie. Centralnie przez nie biegł pojedynczy, dość szeroki, kanalik ogniowy.

Zapłon ten został wynaleziony przez... i tu leży pies pogrzebany. Nie wiadomo dokładnie przez kogo. Wiadomo natomiast, że rozwiązanie to pojawiło się w amunicji austriackiej w połowie lat 80. XIX wieku. Choć najczęściej przypisuje się je austriackiemu konstruktorowi Georgowi Rothowi i zwane jest niekiedy również „zapłonem Rotha", nie jest to jednak >>>

fot. Piotr J. Bochyński

1

2

3

4

5

>>> jednoznacznie rozstrzygnięte. Niemniej w środowisku kolekcjonerskim toczy się nadal dyskusja w tym względzie i poszukiwanie materiałów źródłowych, które dałyby ostateczną odpowiedź.

Zapłon tego typu można również spotkać w amunicji produkcji austro-węgierskiej, austriackiej, węgierskiej, czechosłowackiej, rumuńskiej, holenderskiej – najczęściej z okresu pierwszego ćwierćwiecza XX wieku.

W Polsce zapłon tego typu pojawił się wraz z amunicją kalibru 8x50R Manlicher. Naboje tego typu produkowane na początku lat 20. przez Warsztaty Amunicyjne Nr 1 w Warszawie z komponentów dostarczanych głównie przez Spółkę Akcyjną Fabryk Metalowych pod Firmą „Norblin" Bracia Buch i T. Werner. Niedługo do nich dołączyły również Zakłady Amunicyjne „Pocisk" S.A. Produkcja tego typu amunicji jednak nie trwała długo, gdyż około trzech lat w latach 1920–1922.

Gniazdo spłonki z zapłonem typu austriackiego.

Gdy do uzbrojenia wprowadzono jako standardowy nabój Wojska Polskiego amunicję kalibru 7,92x57, pozostałe wytwórnie krajowe produkowały amunicję i komponenty z typowym zapłonem Berdana. Z.A. „Pocisk" kontynuował produkcje amunicji 7,92x57 Mauser z zapłonem typu austriackiego w latach 1922–1926. Częściowo i prawdopodobnie wynikało to z tego, że Z.A. „Pocisk" zakupiły na początku lat dwudziestych (w 1921 roku) maszyny do produkcji amunicji właśnie w zakładach austriackich wraz z technologią wytwarzania. Maszyny pochodziły z fabryk Enzesfelder Munitions- und Metallwerke A.G., Wien i Hirtenberger Patronen Zundhutchen- und Metallwaren-Fabrik, Hirtenberg.

Znakowanie naboju 7,92x57mm produkcji Z.A. "Pocisk" z 1926 roku z zapłonem typu Berdana.

Co ciekawe, i na co należy jeszcze zwrócić uwagę, to łuski amunicji 7,92x57 z zapłonem Berdana z dwoma kanalikami ogniowymi z początków produkcji w latach 1920–1925 przez inne zakłady. Niezależnie od firmy produkującej na dnie wewnątrz łuski znajduje się dość mocno widoczne i głębokie centralne wgłębienie – „dołek".

Zatem można domniemywać, że część operacji technologicznych przy wytłaczaniu łusek była przejęta lub

fot. Piotr J. Bochyński

LITERATURA:

ŁAZOR ADOLF: „Amunicja austrjacka do broni ręcznej i maszynowej"; Drukarnia M.S. Wojsk., Warszawa 1925

ŁUKASZEWSKI TADEUSZ: „Amunicja karabinowa"; Warszawa 1933

Encyklopedja wojskowa T. 2 – Cuszima – Garibaldyści; Warszawa 1932

Encyklopedja wojskowa. T. 4 – Karabin – Kars; Warszawa 1934

Encyklopedja wojskowa. T. 5 – Lehwaldt – Lipno; Warszawa 1935

ANDRZEJ CIEPLIŃSKI, RYSZARD WOŹNIAK: „Encyklopedia współczesnej broni palnej (od połowy XIX wieku)". Warszawa: Wydawnictwo WiS, 1994

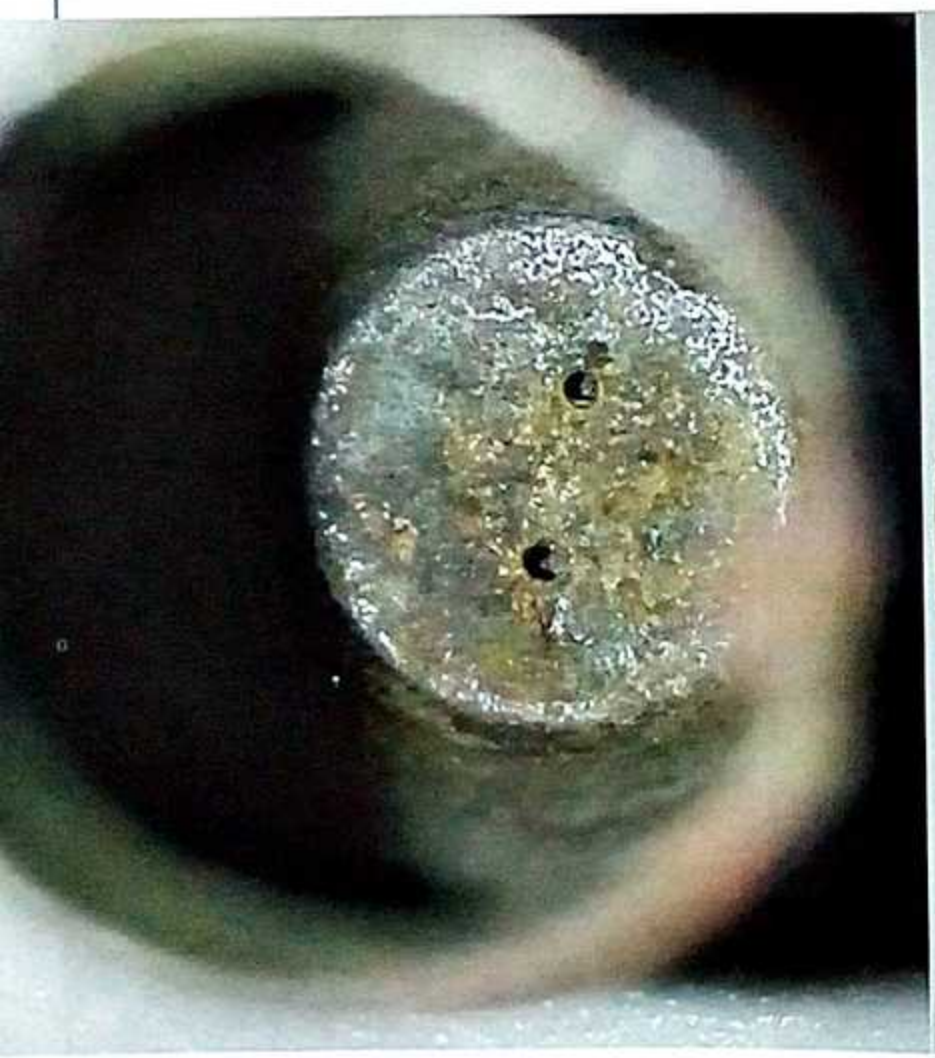

uwzględniała wiercenie pojedynczego otworu pośrodku. Jednak w końcowym efekcie wytwarzania wykonywano klasyczny układ z dwoma kanalikami.

Po roku 1926 cecha ta znika i dno łusek jest już bardziej płaskie. Choć wgłębienie występuje nadal, nie jest ono aż tak widoczne i przyjmuje formę lekkiego wklęśnięcia, co zresztą jest zgodne z rysunkami z epoki. Należy domniemywać, że doszło wtedy do pewnej standaryzacji w zakresie produkcji amunicji 7,92x57 (choć niewielkie różnice nadal występowały). <

Piotr J. Bochyński
Odkrywca, hobbysta i pasjonat historii polskiej amunicji strzeleckiej.

Znakowanie naboju 7,92x57mm produkcji Z.A. „Pocisk" z 1926 roku z widocznym zapłonem typu austriackiego – prawdopodobnie ostatnia seria.

REKLAMA

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!

HIST MAG .ORG

Łączy nas historia!
www.histmag.org

TRISKELION

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. DZISIAJ INSPEKTOR DS. OCHRONY ŚRODOWISKA NA DUŻYM KONTRAKCIE.

Chłopaków znałem od jakiegoś czasu. Spotykaliśmy się na zlotach, imprezach, gdzie przy „kieliszku chleba" rozprawialiśmy o poszukiwaniach. Kiedy któregoś razu wyskoczyli z hasłem, że stowarzyszenie będą zakładać, wzruszyłem ramionami, a w głębi ducha pomyślałem – po kiego grzyba? Mało to stowarzyszeń istnieje, ale praktycznie nie funkcjonuje? Na początku jest zapał, dalekosiężne plany, a później życie weryfikuje wizje, wylewając kubeł zimnej wody na rozpalone czaszki. Ten jest zajęty, tam nie ma wsparcia od lokalnych władz, brakuje pieniędzy na drobne działania. Ech, ile razy to widziałem, a tutaj kolejni nawiedzeni. Jeszcze sobie nazwę jakąś wydumaną „Triskelion" wymyślili. Nawet nie wiadomo co to jest, a to ponoć nawiązanie do Celtów, do trójnogu złożonego z trzech spiral, które dążą do środka, bo troistość to również trzy płaszczyzny, na których żyjemy: fizyczna, umysłowa i duchowa… Jeszcze sporo tych elementów trójgraniastego kółka było, ale to bardziej dla mistyków i etnologów niż dla poszukiwaczy. Ja wyczaiłem jedno – jest trzech wariatów (Cuba, Radek i Robert – kolejność alfabetyczna), którzy chcą się bawić w stowarzyszenie. Cóż – wolna wola. Oprócz wspomnianej trójki w rzecz całą zaangażowały się również inne osoby, w tym rodziny delikwentów. Coś tam kombinowali i radzili, żeby w grudniu 2016 roku się założycielsko zebrać, a w lutym 2017 roku oficjalnie zarejestrować. Nawet mojej skromnej osobie zaproponowali członkostwo honorowe – nie odmówiłem z jednego powodu – lubię tych zakrętów, a że powodzenia im nie wróżyłem, to nie widziałem powodu, żeby w trójnożnym przedsięwzięciu przeszkadzać.

W maju ubiegłego roku zorganizowali zlot w Bielawie. Zlot każdy może zrobić – nic nowego, ale pojechałem zobaczyć, pogadać, napić się miodu i wina. Wrażenia inne niż zazwyczaj – trochę średniowiecza, trochę Napoleona, trochę poszukiwań; słowem, każdy, nawet maruda, mógł znaleźć coś dla siebie. Za organizację wzrósł mój szacunek do Triskelioniaków. Jednak to było tylko preludium „Trójnoga", do działalności. Odbiło im z taką siłą, że spirala to się zaczęła kręcić, ale mnie w głowie, kiedy zacząłem słuchać, co robią i co będą robić.

Pomijając drobniejsze przedsięwzięcia, w których „Triskelion" uczestniczył… Wpadli na pomysł przeniesienia pomnika, który upamiętniał jedną z ostatnich bitew wojny siedmioletniej, która to bitwa miała miejsce pod Dzierżoniowem. Nie był to kaprys, tylko potrzeba, ponieważ działalność pobliskiej kopalni groziła całkowitym unicestwieniem pomnika. A że to wojna pomiędzy Prusami a Austrią? No to co – przecież chodzi o historię oraz hasło, które przyświeca chłopakom: „ponad podziałami", myśl przewodnią wzięli sobie tak do serca, że w pomoc do roboty wkręcili władze aresztu w Dzierżoniowie i pozyskali osadzonych w zakładzie karnym w Piławie Dolnej. Tego jeszcze chyba nie grali, żeby resocjalizować kawałkiem ciężkiej, dosłownie, historii tych, którym się w życiu noga powinęła… Pomnik został przeniesiony i uroczyście odsłonięty. Triskelioniaki dostały nawet list z wyrazami szacunku za swoją inicjatywę od Anny Zalewskiej, minister edukacji narodowej! Idąc za ciosem, przejęli jedną z kazamat fortu Wysoka Skała w Twierdzy Srebrna Góra, gdzie obecnie starają się stworzyć muzeum składające się z różnych znalezisk, ale co najważniejsze wzięli się za forteczne porządki, ratując piękny zabytkowy obiekt. Powie ktoś: dobra, ale gdzie tutaj poszukiwania? Ależ są. W grudniu zeszłego roku zapoczątkowali wieloetapową akcję poszukiwań na polu wspomnianej bitwy pod Dzierżoniowem. Wszystko legalnie, ze zgodami, z nadzorem archeologa, który robi szkolenia jak szukać, zaznaczać i dokumentować znaleziska, żeby z historii bitwy, która przesądziła o tym, że Śląsk przeszedł z rąk austriackich w pruskie, wycisnąć jak najwięcej wiedzy.

Mógłbym tak jeszcze długo. Od siebie dodam, że dla mnie to honor wspierać taką ekipę, a członek również jestem, bo wątpiłem w chłopaków. Adres odszczekującego pod stołem: biczakrad@gmail.com.